NR. 9 ROK V

PODCHORĄŻY

organ szkół podchorążych

FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego" pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i zawiązać z Nimi trwałą współpracę, postanowiła wprowadzić stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografij.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od **2 zł.** do **5 zł.** Fotografje te będą zamieszczane w „Podchorążym", a o przyznaniu premji Redakcja stale będzie zawiadamiać na tem miejscu.

Przy kwalifikowaniu fotografij do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomysłowość ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty ogłoszenia jej przyznania.

Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją. Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.

PREMJE

Redakcja „Podchorążego" przyznała następujące premje za zdjęcia zamieszczone w Nr. 7/8:

a) w wysokości 5 zł.:
- **1 Klarner (za „u konowiązu").**

b) w wysokości 3 zł.:
- **1 Opitz („za węgłem"),**
- **2 Oleńczuk („przyjaciele"),**
- **3 Klarner („wytaczanie dział").**

c) w wysokości 2 zł.:
- **1 Autor nie znany („za apel butów"),**
- **2 Grzonkowski („za chwilę długa serja").**

PODCHORĄŻY

ORGAN SZKÓŁ PODCHORĄŻYCH

Nr. 9(82) **1 LUTEGO 1936 R.** **ROK V**

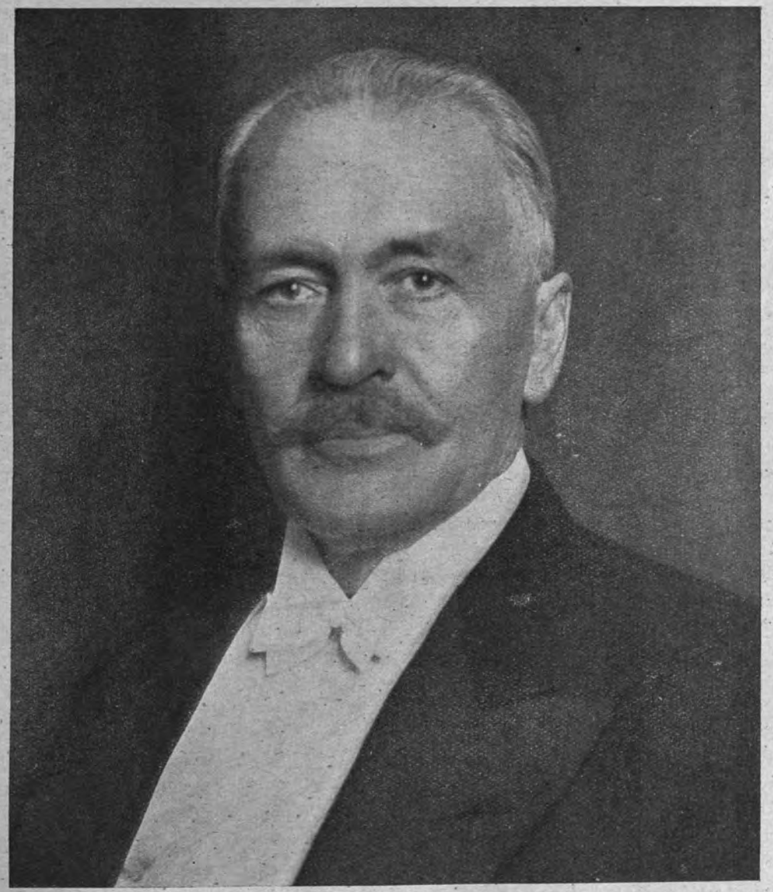

Dostojny Solenizant Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki

WCZORAJ I DZIŚ...

Dość często spotykamy się z naukowemi opracowaniami, zajmującemi się przemianami, jakim ulegają pewne instytucje na przestrzeni wieków w związku z ogólną ewolucją poglądów na życie i świat. Podobnemu opracowaniu należałoby poddać także i instytucję zorganizowanej siły wojskowej.

Jeżeli zwrócimy wzrok nasz na czasy starożytne, to uwagę naszą pociągać będzie przedewszystkiem jeden moment, a mianowicie wojny grecko-perskie, zwycięstwo stosunkowo nielicznej armji, ale opartej na niewzruszonych podstawach przedewszystkiem moralnych, nad tłumami niewolników, najemników — słowem nie żołnierzy lecz żołdaków. Armja grecka tego czasu zbliżyła się do ideału. I nie było to dziełem przypadku.

Piechota nie zna przeszkód.

Grecja tego czasu, to kraj wspaniałego rozkwitu wszystkich dziedzin, w których manifestuje się duch ludzki, to Grecja ze swemi ideałami piękna i dobra, ze swym ideałem człowieka harmonijnego, wszechstronnego doskonałego, to jeszcze nie Grecja czasów późniejszych ze swym sceptycyzmem, narodowym indyferentyzmem, czy, mówiąc językiem współczesnym, pacyfizmem nawet. Nie znaczy to jednak, aby Grecy okresu wojen perskich nienawidzili pokoju. Wprost przeciwnie, nie byli oni zaborcami, jednakże nie wahali się nigdy dobyć miecza, jeżeli w grę wchodziła godność i honor ich narodu. *Ta świadoma służba celom wyższym nadaje rycerzowi greckiemu cechy monumentalne i heroiczne.*

Średniowiecze wynosi znowu pojęcie żołnierza na wysoki piedestał. Rycerz średniowieczny realizuje jego ideał. Ale już Odrodzenie przynosi załamanie. Spotykamy się znowu z najemnikiem, żołdakiem, czy sługą dynastji. I stan taki trwa właściwie aż do rewolucji francuskiej, gdzie żołnierz przełamuje go, a wartość jego moralną dyskontuje później Napoleon.

Najpobieżniejszy przegląd historyczny wskazywałby, że w okresach daleko idącego uduchowienia pojęcie żołnierza nabiera innego wyrazu i innego wyrazu w okresach silnej materjalizacji. O ile w wypadku pierwszym żołnierz wprzągnięty świadomie w krąg idei Ojczyzny nabiera cech koniecznych i jest zjawiskiem wysoce sympatycznem, o tyle w wypadku drugim staje się coraz bardziej żołdakiem, czemś nieznośnem.

Ustrój demokratyczny wprowadził zupełnie nowe pojęcia. Tendencją jego było *postawienie czy wyrzucenie armji poza obręb społeczeństwa.* W ustroju tym stawała się ona jakąś ślepą siłą, którą mógł ostatecznie używać, kto chciał. Przeważnie jednak ubiegają się o jej względy. I tu wyłaziło na wierzch niczem nieraz nieusprawiedliwione forytowanie, które musiało być dla głęboko pojmującego swą rolę i godność żołnierza obelgą. Nie potrzeba dodawać jakiem utrudnieniem musiał być podobny stan rzeczy w samem wychowaniu żołnierza. Musiało się ono ograniczać do wychowania czysto technicznego, podczas gdy cała dziedzina podstaw moralnych zionąć musiała beznadziejną pustką. Na szczęście dziś sytuacja na całym świecie zmienia się na lepsze. Coraz bardziej daje się odczuć pragnienie *przywrócenia armji z natury rzeczy wynikającej pozycji.*

Armja nasza jest czemś organicznie zrośniętem ze społeczeństwem i jako taka stała się niezbędnym czynnikiem jednolitego i harmonijnego wychowania człowieka. Przestaje być odczuwana jako bezmyślny potwór wszczynający i rozpętujący burzę, jako przestarzały kaprys pożerający niewiarygodne sumy, a *staje się niezbędną potrzebą świadomych obywateli.*

Żołnierz nabierze cech monumentalnych, rycerskich, jako sługa sprawy, wolności i honoru narodu, które staną się bliższe i wypełnią bardziej sobą życie codzienne. A żołnierzem będzie się czuł każdy obywatel.

Włodzimierz Bomb. z cenz. *J. Plazak*

PODCHORĄŻOWIE KAWALERJI U TRUMNY WODZA

W dniu 21-ym grudnia ub. r. dworzec kolejowy w Krakowie zapełnił się amarantem otoków na czapkach — to z grudziądzkiego C.W.Kaw. przybyli podchorążowie: młodszy rocznik Oficerskiej Szkoły Kawalerji, oraz dywizjon Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerji, aby, złożyć hołd prochom Wielkiego Marszałka i skłonić swój sztandar przed Jego trumną.

Stara stolica królów polskich przybrała już całkowicie zimowy wygląd — ulice jej pokryte były grubą warstwą śniegu, który padał z zachmurzonego nieba grubemi, mokremi płatami, osiadając grubym kobiercem na naszych ramionach i daszkach czapek. Wyszliśmy przed dworzec — tutaj oczekiwał nas szwadron honorowy 8 pułku ułanów Ks. J. Poniatowskiego ze sztandarem, który wyszedł na nasze spotkanie, oraz władze wojskowe w osobach dowódcy brygady kawalerji Kraków Pana płk. Piaseckiego i dowódcy 8 pułku ułanów płk. Masztalerza. Po przywitaniu obu sztandarów, zdaniu raportu, oraz krótkiem przemówieniu, wygłoszonem przez płk. Piaseckiego, padło kilka słów komendy, którym odpowiedział błysk naszych szabel, szwadrony załamały się w trójki i pomaszerowaliśmy na Wawel tą samą drogą, którą już pół roku temu szedł żałobny kondukt, odprowadzający na miejsce wiecznego spoczynku Największego Syna Rzeczypospolitej. Gdy tak szliśmy zaśnieżonemi ulicami Krakowa, owego miasta, z którego 21 lat temu Marszałek powiódł swych pierwszych żołnierzy do walki o wolność „Tej co nie zginęła" — dziwne uczucia opanowały nasze serca, obok bezgranicznego żalu, że niema już Jego między żyjącymi, że opuścił Polskę na zawsze, było też coś, jakby trema, bo wszak z każdym krokiem zbliżaliśmy się do Wawelu, bo oto już za chwil kilka mieliśmy się zameldować u Wodza, co ciałem tylko umarł.

W wawelskiej krypcie.

Jesteśmy na miejscu. Wawel. Szare mury zamku, kryjącego prochy władców Polski wpuściły nas do swego wnętrza. Weszliśmy do katedry wawelskiej, do świątyni, w której każdy przedmiot, każdy najdrobniejszy szczegół ma w sobie głębokie tchnienie historji, każdy przedmiot, zda się, przemawia do duszy Polaka, opowiadając mu dzieje jego wielkiej Ojczyzny. Cisza i majestat wieków... Dzwonek! To ksiądz wychodzi z nabożeństwem. Msza święta... W ogromie katedry głos kapłana i inne wtórujące mu z chóru wydają się jakieś przytłumione, jakby obawiały się zakłócić spokoju duszom wielkich królów i wodzów, tutaj spoczywających.

Po nabożeństwie następuje najważniejsza chwila: w ciszy i skupieniu schodzimy wąskiemi, krętemi schodami do podziemi, do krypty św. Leonarda. Już od wejścia widać błyszczące wieko kryształowej trumny, a w niej — szarą postać. Podchodzimy bliżej, mijając wartownika, jednego z podchorążych, wyprężonego jak struna i trzymającego w dłoni obnażoną szablą, na głowni której migocą refleksy świetlne, szablę, którą tak ukochał — On, bo była mu orężem w walce o wolność Ojczyzny. Wpatrujemy się w ukochane oblicze Wodza, tak dobrze wszystkim znane, na którym śmierć położyła piętno jakiegoś dziwnego spokoju i zadumy — »Dziadek« śpi... Wyciągnięci na baczność — żegnamy Go w imieniu całej Armji, która była Mu zawsze tak bliską i drogą, meldując uroczyście, że do ostatniego tchnienia w piersi bronić będziemy granic Ojczyzny — granic, które były Jego dziełem, że za zaszczyt i szczęście uważać sobie będziemy śmierć dla Polski w czasie wojny, a w czasie pokoju pracę dla Niej w myśl Jego idei i głębokich wskazań, streszczonych w mocnych, żołnierskich słowach:

»Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig krwi, jak przedtem był wyścig żelaza«...

Wodzu! Stajemy do wyścigu pracy, a gdy zaj-

dzie potrzeba z radością oddamy swą krew Ojczyźnie... Opuściliśmy kryptę w zadumie i skupieniu, pełni podniosłego nastroju, jaki dać może tylko bezpośrednie obcowanie z Wielkością i Potęgą, które były zawsze cechą Jego myśli, uczuć i czynów...

Drugim wzniosłym momentem w czasie naszego pobytu w Krakowie była wycieczka na Sowiniec, gdzie, niestety, nie danem nam było dorzucić garści ziemi do wzrastającego kopca Marszałka, gdyż w związku z zimą wszelkie prace zostały przerwane. Po zwiedzeniu budynku z pamiątkami, które mają być zawiązkiem muzeum sowinieckiego, wpisaliśmy się do księgi pamiątkowej, poczem weszliśmy na tymczasowy szczyt kopca, gdzie znajduje się wylot wielkiego zbiornika ziemi, z różnych stron naszego kraju.

Ziemia to nie zwyczajna, bo zroszona potem i przepojona krwią polskiego żołnierza — ziemia ze wszystkich pobojowisk Polski, na których pod Jego przewodem szary nasz żołnierz swym bagnetem, czy szablą wyrąbywał i utrwalał granice swej Rzeczypospolitej, na których broczył krwią z ran, wrażą zadanych ręką i umierał z jasnem obliczem szepcąc: »Dla Ciebie Polsko, i dla Twojej chwały!« Tutaj Komendant Centrum Wyszkolenia Kawalerji Pan Pułkownik dypl. Smoleński, po krótkiem przemówieniu zarządził dwuminutową ciszę dla uczczenia pamięci wszystkich Polaków, poległych za Ojczyznę. W ciągu tych dwóch minut myśl nasza uleciała ku tym wszystkim miejscowościom, które stworzyły historję naszej armji, błądząc oczami wyobraźni po krwawych pobojowiskach Kostiuchnówki, Krzywopłotów, Nadwornej, Rafajłowej, Krechowiec, Rokitny, Radzymina i wracała do Tego, który był żywą historją polskiego oręża, do szarej postaci Wodza, który w najcięższych chwilach potrafił tchnąć w żołnierza potężnego ducha, co zwyciężać, lub umierać kazał...

Na tem zakończyła się nasza wycieczka do Krakowa — miasta pierwszej kompanji kadrowej z przed 21 lat, a obecnie — miasta, kryjącego ukochane przez cały naród Zwłoki.

Byliśmy ostatnimi, którzy oglądali ciało Marszałka przed złożeniem do metalowej trumny. Byliśmy ostatnimi z żołnierzy polskich, którzy meldowali się u Komendanta przed udaniem się Jego na wieczny spoczynek, gdzie w ciszy i spokoju wawelskiej katedry będzie prowadził długie rozmowy z cieniami naszych wielkich przodków—On, Wielki Marszałek Polski.

pchor. *J. Dłutek.*

NAJZASZCZYTNIEJSZA WARTA

Kurs Podchorążych Rezerwy I-szej Dywizji Piechoty Legjonów przeżył chwilę, której niesposób przetłumaczyć na słowa. Mając jeszcze w pamięci słowa przysięgi żołnierskiej poszedł na pierwszą swoją wartę.

Codziennie przez pewien czas pobudka dla 12-u ludzi była wcześniejsza i maszerowali przez uśpione ciemności Wilna, by zdążyć na czas. O godz. 5 rano, w mroku barokowego kościoła św. Teresy, który przylega do Ostrej Bramy, już stało dwóch legjonistów z cenzusem skamieniałych w postawie na baczność, z bagnetem na broni u nogi.

Stali ci wartownicy honorowi na tle kaskady kwiatów. Nad tą kaskadą, w murze szerokiego filaru znać było kwadrat z zaznaczonym krzyżem. Tu wmurowano urnę z Sercem Wodza na czasowy spoczynek.

Ludzie przechodzą, patrzą i opuszczają kościół. W niezmiennej postawie wartowników, wrosłych w kamienną posadzkę kościoła, czai się gotowość i nadsłuchiwanie. Tak. Nadsłuchiwanie— czy o trzy metry obok — nie dosłyszą szmeru, czy uśpione Serce nie zabije. Jest dużo z mitu, dużo z legendy w tem pomyśleniu, że serce wmurowane ożyć potrafi. A gdy serce to żyło, to Temu, który je w piersi nosił, podyktowało słowa:

„Jeśli jest w legendach coś fałszywego, to one naprzód daleko nie zajdą, wstrzymają się u wrót serca".

Jego legenda się nie zatrzymała. Serce, które ją na świat wydało, powróciło do miasta najmilszego, Wilna.

O Wilnie mówią, że ma w sobie dużo sentymentu. Nic dziwnego, skoro to miasto ukochane jest przez dwa narody: Polaków i Litwinów, skoro tu, w Wilnie, krzyżują się owe związki krwi, za Jagiellonów napoczęte. Wilno jest stolicą Litwy złączonej z Polską. Innej Litwy bowiem uznać nie można. Józef Piłsudski był właśnie z tego podwójnego narodu krwią i kością. Tę wielką wspólnotę przekazanem Wilnu w testamencie Sercem przypieczętował.

Takie myśli, nasuwają się w Ostrobramskim Kościele. Do tego przychodzi ta jeszcze: czyż nie dotykamy legendy, gdy na warcie przed Sercem swego Wodza stoi żołnierz I-ej Dywizji Legjonów.

Stoi przyszły podchorąży i rozmyśla o swoich wojskowych przygodach. Rozmyśla trochę inaczej niż zwykle — w obliczu tajemniczej obecności historji.

Kwiaty pachną odurzająco. Znów ktoś przyszedł i utkwił wzrok, jakby wzrokiem chciał przebić mur i dostać się do Serca. Ktoś cywilny stanął na baczność. A potem te dzieci z kwiatami i ta pani w żałobie...

...przez otwarte odrzwia dolatuje pogwar uliczny...

Zadudniły pod sklepieniem kroki w głębi bocznej nawy. Zmiana Warty.

5 p. p. leg. Leg. z cenz. *K. SZYCHOWSKI*

CZŁOWIEK A WSZECHŚWIAT

Nader zajmujące tematy poruszane są w obecnej dobie: przeciwstawiają bowiem wartości człowiecze wartościom kosmicznym, wykazując, że w miarę odkryć naukowych na polu wszechświata wartości człowiecze w ocenie nowożytnej zmalały.

Przyczyny tego wzajemnego procesu dopatrujemy się w teorji względności, która nie dowierza rozsądkowi i czuje odrazę do absolutu. W konsekwencji człowiek po długich dociekaniach i badaniach filozoficznych i naukowych oraz po wielu wręcz dyletanckich igraszkach zatracił pewność siebie, zwątpił w siebie i przyzwyczaił się do tego, że wszędzie i zawsze pyta: „Na co to? Czy warto żyć?, W jaki sposób można najlepiej użyć życia?" W tych czasach zwątpienia i gubienia się w pytaniach nagle ukazały się nowe widnokręgi. Wynaleziono samochód, dzięki czemu opanowano odległość. Potem przyszła kolej na samoloty. Człowiek opanował nietylko odległość na stałym lądzie, lecz stał się panem przestworza. Ląd i morza służą dziś kornie człowiekowi. A jednak po triumfalnym przelocie Lindbergha z Ameryki do Europy niejeden sobie powiedział: „Jakżeż mały jest świat„ i zapytał: „Co właściwie jesteśmy warci?" Pytanie to wydaje się tembardziej usprawiedliwione, jeśli zważy się, jak fantastycznemi cyframi operuje dzisiaj astronomja. Czemże bowiem jest nasz glob ziemski w porównaniu z ogromem słońca? A cóż znaczy to słońce w porównaniu z całością systemu słonecznego? Przed naszemi oczami i w naszej fantazji w nieskończoność rozszerzały się granice przestworza, w którem ziemia nasza znaczy tyle, co pyłek, mogący w każdej chwili być zmieniony. A jeśli ta ziemia jest tylko pyłkiem, cóż znaczyć może ten człowiek, który ją zamieszkuje?

I tu wyłaniają się zasadnicze pytania: czy człowiek rzeczywiście nie znaczy więcej, jak ta ziemia? Czy człowiek nie znaczy więcej, jak ta materjalna kula ziemska, którą on zamieszkuje? Czy człowiek nie znaczy więcej, aniżeli cały materjalny wszechświat, który go otacza?

Zapewne zbawienną rzeczą jest, jeśli człowiek uświadomi sobie granice i warunki swego bytu, jeśli uprzytomni sobie, jak bezsilnym jest pośrodku tych niezmierzonych sił, kosmicznych mocy i objawów, które go otaczają i nad nim panują i jeśli zważy, jak mizerne miejsce w tym świecie zajmuje. Ta świadomość nie powinna go jednak doprowadzić do tego, by sam sobą pogardzał i by się czuł niżej, aniżeli materjalna masa wszechświata. Nowożytny duch kieruje się pozytywizmem, a raczej ilością. Ocenia rzeczy według ich liczby, ich masy. Człowieka ocenia według tego, czem on potrafi operować i na czem się zna, jakie przedsiębiorstwa potrafi w ruch puścić i jakiemi potrafi kierować. Miarą oceny człowieka jest wielkość kapitału, którym obraca. Ale życie nowoczesne nie ocenia już człowieka według tego, co stanowi istotę jego, według jego duszy. Ceni jeszcze w człowieku jego myśl, nie jako rzecz istotną, lecz jako wartość odrębną niedorównywującą materjalnej wartości. To lekceważenie człowieka jako człowieka wydać się musi rzeczą dziwną, jeśli się zważy te niesłychane odkrycia i te wielkie zdobycze, któremi człowiek pochlubić się może. Jest to typowym objawem nowożytnej doby.

Nie znały tego wieki poprzednie, nie znali tego wielcy odkrywcy XVI stulecia badacze XIX-go i początku XX-go wieku. A przecież zdawaćby się mogło, że zwłaszcza tym wielkim ludziom z XVI-go stulecia, którzy odkryli nowe, niezmierzone, pełne tajemnic i skarbów ziemie, ten stary świat musiał się wydać ubogim i ciasnym. Oni jednak formalnie upajali się poczuciem swej siły i dumą swej mocy. Oni sami i ich ojczyzna wzrastali tem, co dla siebie i dla niej zdobyli. Działo się to dlatego, ponieważ ówczesny człowiek więcej miał wiary w siebie. Był pokorny, lecz sobą nie pomiatał.

Pozytywizm natomiast obalił wszystkie wartości. „Wytłumaczywszy" historję stworzenia świata, pomniejszył wszechświat, a jeszcze bardziej samego człowieka.

Tylko dla wierzącego, który widzi w świecie twór Boży, człowiek jest jeszcze panem świata. I ten wierzący, podobnie jak materjalista, czyni z siebie ośrodek wszechświata, lecz na sposób wręcz odmienny. On uznaje, że wszystko co ziemia wydaje i w sobie kryje, ba, nawet i żywioły, z natury swej względnie za jego przyczynieniem się jemu służą. Nie wyobraża sobie bynajmniej, by wszechświat dla niego tylko był stworzony, lecz ten wszechświat ze wszystkiemi swemi skarbami i nieba i ziemi już przez to samo, że on się niemi rozkoszuje, jest poniekąd jego własnością. On, by się tak wyrazić, wrasta w wielkość nieba, a wielkość ta nie budzi w nim uczucia jego moralności. Do świadomości swej nicości wobec nieba dołącza się uczucie, jakoby jego cała istota dzięki wielkości nieba się poszerzała. Dusza jego rozpływa się w tej wielkości i wypoczywa. Bywają chwile, w których wyobraża sobie, że w tem odbiciu nieskończoności ogarnia wręcz tę nieskończoność. W tem uniesieniu zawsze wyczuwa tchnienie Boga, który stworzył wszystko w tajemniczym celu, którym mogła być tylko miłość.

Przeczyć istnieniu Boga i duszy znaczy poniżyć człowieka do rzędu materjalnej cząstki materjalnego wszechświata, w którym działają tylko materjalne ślepe siły. Idąc tą drogą, dojść musimy do tego, że człowiek w miarę niej będzie sobą pogardzał i tą planetą, którą zamieszkuje.

Człowiek wierzący widzi w postępach nauki, biologji, fizyki, astronomji, żeglugi powietrznej i t. d. tylko opanowanie materji przez ducha. Człowiek wierzący posiada pełną świadomość swej wartości, lecz jest pokorny. Gdyż cóż znaczy wielki postęp w porównaniu z tem, co jeszcze nie jest zbadane a może i wiecznie nie zostanie zbadane? Ta nieskończoność, którą trzeba jeszcze zdobyć, nie przytłacza człowieka wiary, ona go poszerza i pogłębia tylko, bo ona jest tylko dziełem, odbiciem i zwiastowaniem nieskończonego Boga, który jest i jego Bogiem.

Poszczególny żołnierz nie traci nic ze swej wartości z tej racji, że w armji tych żołnierzy jest cały miljon.

Pchr. *K. Sułkowski*

SZKOŁA STRZELECKA

„Szkoła strzelca" — tak się utarło już u nas w wojsku nazywać cały szereg ćwiczeń z dziedziny wyszkolenia strzeleckiego. Dlaczego? Chyba, że dział ten jest i dzisiaj jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszy w całokształcie szkoły żołnierskiej, szkoły wojskowej.

Jakaż jest tedy poglądu tego przyczyna? Nie mam zamiaru przekonywać kogoś o tem, że tak jest istotnie. Pozwolę sobie przytoczyć słowa Marszałka Piłsudskiego, które dostateczną rękojmią będą powyższego twierdzenia, a które brzmią: „Znałem dwóch w mojem długiem życiu wojskowem żołnierzy, którzy utkwili mi w pamięci. Jeden z nich zużył tysiące sztuk amunicji, drugi trzy naboje. Rezultat był lepszy u tego ostatniego". Gdzie przyczyna? Rzecz prosta, że w wyszkoleniu strzeleckiem. Jeden z tych ludzi nie wyniósł z pierwszych dni swych żołnierskich ani krzty „Szkoły strzelca", drugi naprawdę skorzystał z niej dobrze, dowody czego dał później.

Na strzelnicy fot. Rink

Bez żadnych też zastrzeżeń można powiedzieć, że dzisiaj w wychowaniu żołnierza powinna być zwrócona uwaga przedewszystkiem na wyszkolenie strzeleckie. Nie można przecież wyobrazić sobie dobrego żołnierza, któryby był złym strzelcem. Pospolicie dzisiaj się mówi w oddziałach: „Zły strzelec—zły żołnierz". Nadanie młodemu żołnierzowi jednego ze wspomnianych przymiotników oznacza, że i drugi temu nieodłącznie towarzyszy.

Wyszkolenie strzeleckie docenia się dzisiaj może najbardziej w oddziałach piechoty. W innych broniach nie można na dział ten poświęcić tyle czasu z powodów zupełnie zrozumiałych. To też, jeśli piechota nosi (mam przekonanie, że raz na zawsze) miano „królowej broni", to jedną z przyczyn jest właśnie ta przewaga procentowa „celnych strzałów".

„Szkoła strzelca" fot. Łukawski

Niepodobna też dzisiaj wyobrazić sobie wojny z ludźmi, którzyby zużywali amunicję w sposób, jaki miał miejsce w wojnie światowej. Jeden z uczonych obliczył, że gdyby co drugi strzał w czasie zawieruchy wojennej w latach od 1914 do 1918 był trafny — wystarczyłoby, aby dzisiejsza Rosja stała się bezludnym obszarem. A zużycie tych strzałów nieumiejętnie dało skutki, jakie mamy szczęście oglądać dzisiaj.

Skoro tak sprawa wyszkolenia strzeleckiego się przedstawia w świetle faktów historycznie już stwierdzonych, to niedwuznacznie można powiedzieć, że „szkoła strzelca" musi zająć gros czasu we wszystkich przedmiotach wojskowych. Nadmienić przytem należy, że przedmiot ten jest najbardziej lubiany przez żołnierzy, jeżeli prowadzenie jego jest dostosowane do poziomu uczniów i do ich czasu.

Jedną z przyczyn jest tu współzawodnictwo. Dlatego też przeprowadza się zupełnie uzasadnione różnego rodzaju zawody strzeleckie.

Każdy żołnierz musi przyznać, że chęć zostania mistrzem strzeleckim oddziału była punktem kulminacyjnym jego wysiłków w tym kierunku. Osobiście dokładałem wiele pracy, by cel ten osiągnąć. Wychodzę z założenia, że „dobry strzelec — dobry żołnierz". Zdobycie tego epitetu było, jest i będzie mojem marzeniem „ab ineunte aetate" do dni dzisiejszych. Chcę bowiem być dobrym żołnierzem; zdobycie jednak tego tytułu jest dzisiaj niemożliwe, jeśli się nie osiągnie pierwszego.

Jednej rzeczy przytem nie można pominąć. Żołnierz wyszkolony na dobrego strzelca moralnie stoi bardzo wysoko. Z takim żołnierzem można „iść na wojnę". Czuje się on pewny siebie. Ma do swego karabina wielkie zaufanie. On jego nie zawiedzie Każdy jego strzał jest niechybny. Żołnierz taki nie zawiedzie swego dowódcy.

Cóż znaczy na froncie „pukający" bataljon przeciwko dobrze strzelającej kompanji? Jest on igraszką dla niej.

Doświadczenia „starych wodzów", ludzi, którzy bardzo często tułali się po ziemi różnych „panów" wykazały, że żołnierze kompanji dobrze strzelającej moralnie stoją zawsze daleko wyżej od innych.

Tak jest istotnie. Dzisiaj już nikt temu nie zaprzeczy. Na każdym kroku to widzimy.

Skoro tak jest niezawodnie, to wiemy na co w szeregach mamy baczną zwrócić uwagę. Jasnem jest dla nas, że przedewszystkiem na „szkołę strzelca".

Pchor. *St. Dubrownik.*

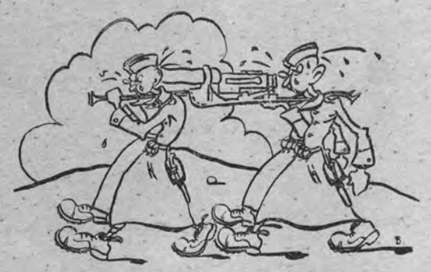

PSYCHOLOGJA WALCZĄCEGO ŻOŁNIERZA

ŻOŁNIERZ PRZED WALKĄ

(Ciąg dalszy)

e) Postój podróżny. Marsz podróżny, który jak widzieliśmy wyczerpuje żołnierza bardzo silnie — przeważnie kończy się postojem podróżnym. Postój ten może być w miejscowości — t. zw. *kwaterunek,* albo pod gołem niebem — t. zw. *biwak.* W obu wypadkach chodzi o wypoczęcie i nabranie sił do marszu na dzień następny.

Bez względu na stopień zmęczenia marszem— żołnierz szybko odzyskuje siły moralne i fizyczne jeśli może: 1) wymoczyć nogi w zimnej wodzie, która wyciąga z nich ogień; 2) ugasić pragnienie i zaspokoić głód i 3) przespać się w miejscu zabezpieczonem od zimna. Gdy tych warunków brak— żołnierz nie wypocznie i nie nabierze sił do dalszego marszu. Dlatego też dowódcy wszystkich stopni, a zwłaszcza bezpośredni, dokładają wszystkich starań aby swoim żołnierzom zapewnić najznośniejszy odpoczynek. Odgrywa tu rolę rozdział kwater, przygotowanie i spożycie strawy oraz przespanie się na kwaterach. Dbałość o kwaterę wpływa również bardzo dodatnio na stosunek żołnierza do dowódcy i zawsze przejawia się w postaci głębszego zaufania, zżycie się dowódcy z oddziałem i odwrotnie — brak starań o kwatery — odsuwa duchowo żołnierzy od dowódcy.

Odpowiednio wychowany żołnierz na postoju z własne, inicjatywy zatroszczy się o karabin, lub inną część uzbrojenia, rynsztunku, lub konia. Część jednak żołnierzy będzie wymagała podniety ze strony dowódcy do wykonania zabiegów o broń, rynsztunek lub konia. Szczególnie żołnierze leniwi i po większym wysiłku wymagają nadzoru. Bardzo ważną rzeczą jest obuwie, które po marszu musi być opatrzone, wysmarowane, czasem wyreperowane lub wymienione zupełnie. Zaniedbanie obuwia — odbija się na zdolności marszowej oddziału.

Na postoju żołnierz zetknie się z ludnością cywilną między którą będzie pewien odsetek szpiegów. Jeśli to jest ludność obca, podbita — to każdy mieszkaniec może być szpiegiem. Czasem może być prowadzona skryta agitacja przeciwnika, od której należy żołnierza umiejętnie odgrodzić. Żołnierz przeważnie dopytuje o odległość do miejscowości, do których przypuszczalnie ma oddział maszerować i tem samem zdradza tajemnicę jego kierunku. Dowódca drużyny lub plutonu obowiązany jest śledzić pilnie i pilnować zachowania tajemnicy wojskowej.

Ogólnie — żołnierz na postoju nabiera sił do trudów i przysposabia się do walki, lub marszu. Pobyt na postoju wpływa dodatnio na samopoczucie żołnierzy. Ten dodatni wpływ może być osłabiony przez działanie lotnictwa nieprzyjacielskiego, oraz związane z tem alarmy lotnicze. Najbardziej ujemnie wpływają alarmy fałszywe, których należy się wystrzegać. Służba obserwacyjno-alarmowa — musi być dobrze zorganizowana. Żołnierz zaalarmowany kilkakrotnie fałszywie — przestaje wierzyć w celowość alarmu, zacznie kląć i wogóle obniży swoje samopoczucie i stanie się zdenerwowany, niecierpliwy, traci ducha. Ujemnie odbija się na duchu żołnierza sucha formalistyka i zbyt wielka ostrożność. Z postoju marszowego — żołnierz rusza wesół i w dobrym humorze. Śpiewa chętnie piosenkę i wogóle wytwarza „byczy" nastrój.

f) Postój ubezpieczony. Postój ubezpieczony — nie różni się w zasadzie niczem od postoju podróżnego. Te same czynniki działają dodatnio lub ujemnie zależnie od dowódcy i jego żołnierzy. Przy tym rodzaju postoju będzie jednak większa możliwość alarmów lotniczych, pancernych lub gazowych, a w związku z tem i słabszy wypoczynek.

Część jednak żołnierzy na postoju ubezpieczonym — spełnia służbę ubezpieczeń, a zatem podlega zupełnie innym czynnikom zmęczenia i nastroju psychicznego. Przedewszystkiem fakt, że po wielkim wysiłku marszowym trzeba iść w pole do ciężkiej służby, powoduje uczucie przykrości. Uczucie to żołnierz pokonuje stosunkowo szybko, po pierwsze: z powodu przyzwyczajenia do wykonywania rozkazów, po drugie: przez głębokie poczucie solidarności z całym oddziałem, którego żołnierze przez odpoczynek muszą nabrać sił do walki.

Na otwartej pozycji — fot. Sutarzewicz

Po zdobyciu się na nowy akt energji i woli, żołnierz staje się posłusznym wykonawcą rozkazów przełożonych, staje na czujce, patroluje przedpole, nosi meldunki i wogóle pełni ciężką służbę ubezpieczeń, rozumie jej powagę i poświęca się dla kolegów.

Przychodzi noc. Samotna czujka lub podsłuch, natęża słuch i wzrok, pilnie słucha czy nie nadchodzi nieprzyjaciel. Każdy szelest liści, szmer zboża lub gałęzi drzew, każdy odgłos nocy — podniecają wyobraźnię i powodują uczucie strachu. Najbardziej przykrą jest samotność. Działa ona wtedy ciężko, przytłaczająco. Strach zmusi jednak żołnierza do pilności — do wytężania słuchu i wzroku — do skupiania uwagi. Jeśli żołnierz uczucie strachu opanuje — to najczęściej zaczyna nań działać inny groźny czynnik — senność. Zmęczony organizm domaga się odpoczynku, sen klei oczy i zamyka je przemocą, odbiera siłę członkom, ręce mdleją, spać..., spać..., zdrzemnąć się chociaż na chwilkę — to głębokie pragnienie żołnierza na czujce. Rozumiejąc swoją powinność — żołnierz często gryzie ręce aż do kwi, opiera dłoń na ostru bagnetu i wogóle walczy z snem jak może. Ukazanie się zmiany — wywołuje westchnienie ulgi. Zeszedłszy z czujki lub posterunku, żołnierz zasypia kamieniem i tylko siłą może być ze snu wyrwanym. Jednostki słabe – zasypiają nawet w służbie.

Patrole, lub inne rodzaje ubezpieczeń na postoju podlegają podobnym wrażeniom jak czujka, jednak dochodzi jeszcze kwestja obawy przed zabłądzeniem, co się zdarza w mało znanym terenie w ciemne noce.

Regularne zmiany i przestrzeganie kolejki zapobiega zupełnemu wyczerpaniu żołnierza służbą ubezpieczeń.

Dla spotęgowania czujności dowódca przeprowadza sam lub poleca przeprowadzać kontrole. Kontrole działają dodatnio na samopoczucie żołnierzy oraz na czujność i dokładność służby.

Nawet najspokojniejsza służba nocna męczy i wyczerpuje żołnierzy. Jeśli odział pełniący służbę ubezpieczeń nie otrzyma paru godzin odpoczynku, jest mało zdolny do walki i nie posiada rozpędu, ani energji. Potrzeba odpoczynku będzie tem konieczniejsza, im więcej alarmów i wogóle niepokoju zawierała służba.

Mimo tych czynników męczących, żołnierz — jak już podkreślałem — pełni służbę chętnie i z poświęceniem, byleby kolejka tej służby była dobrze przestrzegana. Czasem może iść na ubezpieczenie oddział poza kolejką, ale wtedy musi być podniecona ambicja żołnierzy przez uznanie ich przez dowódcę wyższego za najlepszych lub t. p.

* * *

Dodatni wpływ postoju na samopoczucie żołnierza może być ograniczony przez działanie nieprzyjacielskiego lotnictwa, kawalerji lub broni pancernej. Dobrze zastosowana obrona przeciwlotnicza, przeciwpancerna oraz opanowanie sposobów walki z kawalerją zapewni spokój i bezpieczeństwo oraz mniejsze wyczerpanie nerwowe żołnierzy.

* * *

Długotrwały postój w jednej miejscowości zatraca swoje oddziaływanie dodatnie. Żołnierz nudzi się, nie widzi celu takiego postoju i staje się mniej odporny moralnie. Tylko walka ruchowa, pełna trudów i niebezpieczeństw — wyrabia pełnowartościowych żołnierzy, zahartowanych i odpornych na czynniki ujemne. Żołnierz lubi działanie— ruch, ciągłą zmianę miejscowości, nowe otoczenia i nowe zadania. Dlatego to każde manewry tak dodatnio działają na stan fizyczny i moralny żołnierzy. Aby jednak do tego doszło, musi być żołnierz „wciągnięty" w pracę polową i umiejętnie w niej prowadzony przez dowódców.

* * *

Omówiliśmy zgrubsza stany jakie kolejno przetrwał żołnierz od ogłoszenia mobilizacji aż do wejścia na linję czuwania t. j. do możliwości spotkania się z nieprzyjacielem.

Spostrzegliśmy szereg czynników działających bądź ujemnie, bądź dodatnio.

Dodatnio działają: wpływ dowódcy, jego troska o zaopatrzenie, wyżywienie, umundurowanie, broń, odpoczynki oraz higjenę i braki żołnierza, nastrój dowódcy, świadomość celu wysiłku, odporność fizyczna na skutek treningu i t. p.

Ujemne to — ciężar rynsztunku, pragnienie głód, zmęczenie, brak snu, złe kwatery odosobnie-

Na ćwiczeniach zimowych — fot. Sutarzewicz

nie wobec grozy napadu nieprzyjaciela, alarmy, działanie broni lotniczej, pancernej i gazowej oraz kawalerji nieprzyjaciela.

Każdy dowódca wytęża wszystkie siły, aby podnieść do maksimum działania czynników dodatnich, a obniżyć wpływ ujemnych. Wysiłki te mają na celu wprowadzenie do walki żołnierza o pełnej wartości fizycznej i moralnej — zdolnego do boju w pełnem tego słowa znaczeniu.

Na nic bowiem nie zda się przedwczesny wysiłek, jeśli w momencie decydującym — zabraknie żołnierzowi potrzebnej mu energji.

Przed bitwą — żołnierza musimy sposobić do bitwy. (d. c. n.)

STARYM OJCÓW NASZYCH SZLAKIEM

Zetlałe, zżółkłe kartki papierów — wnioski, rozkazy, meldunki. Wydarte często z zeszytów, pokryte nerwowem, gorączkowem pismem, kreślone gdzieś w linji, w okopie, kartki, lub sztabowe pokryte równemi linjami maszynopisu arkusze — dokumenty.

Kiepski wojenny papier kruszy się już po 15-stu latach — nie na pergaminach pisze się dziś historja wojen i czynów wielkich, chwalebnych, pisze się na zrytej kretowiskami okopów i wybuchów ziemi, dają im świadectwo te skromne pożółkłe kartki.

Grube teczki z aktami — odznaczeni krzyżem „Virtuti Militari" — wspomnienia ostatniej wojny polskiej, wspomnienia chwil tragicznych, lecz jakże chwalebnych w tym akordzie ofiarności i bohaterstwa, który zdołały z dusz ludzkich wydobyć.

——o——

Decyzja Wodza Naczelnego zapadła. Chwila rozstrzygająca. Rozdzwoniły się aparaty telefoniczne, rozstukały „Remingtony", popłynęły rozkazy do sztabów armij, dywizij, do pułków, kompanij, plutonów. Potężny aparat poczyna działać, nic nie może zawieść, każdy szczegół jest ważny — każdy musi swe zadanie spełnić do ostatka.

Linja kilkasetkilometrowego frontu drgnęła. Decyzja, plan Wodza nieznany, lecz decyzja jest jedyna, pewna, niezawodna. Żołnierz czuje, że bez żalu trzeba rzucić dotychczas zażarcie bronioną pozycję i odejść w tył na nową linję, że trzeba gdzie indziej ruszyć naprzód i przeć obłędnie, bez opamiętania, lub wgryźć się w ziemię norami okopów i schronów i trwać, trwać mimo wszystko...

——o——

Trwać. Zygzakowata linja pośpiesznie budowanych okopów złoci się źle zamaskowanym, świeżo wykopanym piaskiem. Szereg przywartych do zewnętrznej ściany postaci. Rozedrgane upałem powietrze, daleka przestrzeń rozświetlona słońcem. Cisza, tylko monotonny ledwie dosłyszalny brzęk owadzich skrzydeł i tylko czasem głos przytłumionej rozmowy. Słońce wypija resztki sił ze zmęczonych, obolałych mięśni. Głowa ciąży, oczy bolą od patrzenia w przesyconą blaskiem dal. Podchorąży Wóycicki przywarł twarzą do ziemi. Trwać — nakaz i obowiązek — cały ciężar odpowiedzialności spoczywa na nim — dowódcy, odpowiedzialności za pluton, za życie tych ludzi za wykonanie zadania. Myśl uparcie powraca do tego, a cisza męczy, szarpie każdy nerw — coś się lada chwila stanie...

Gdzieś za szosą zagadała maszynka i umilkła. Młody dowódca spojrzał w przedpole. Pustka, smuga szosy biegnie prosto tam gdzie kryje się niewiadome, kryje się milczący wróg. Spokój — wstać teraz i iść w te pola ciche, rozgrzane słońcem jak niegdyś, jak przed laty w czasie szkolnych wakacyi. Wspomnienia niedawnych szczęśliwych chwil: te wojny na patyki gdy wiódł swą czteroosobową armję i potem on, dzielny wódz, z podbitem okiem wracał do domu — z obawą — Co matka na to powie? Matka—nie płakała gdy wyruszał — mówiła tylko, żeby uważał na siebie, żeby się nie przeziębił i nie palił dużo, bo to szkodzi..,

Brzęknęła manierka, rozległo się chciwe bulgotanie. Upał — spieczone wargi. Rozejrzał się za wodą, najbliższy żołnierz z bezmyślnym wyrazem twarzy drapał się końcem bagnetu po plecach. Dobry wynalazek. — „Macie wodę" — Spojrzał, podał manierkę. Dwa łyki ohydnej ciepłej lury. I znowu wzrok skierowany przed siebie — tam w brzeźniaku coś musi być. — W brzeźniaku, wtedy z Hanką — co teraz porabia, kiedyż to widział się ostatni raz — w Samborze — potem wyjechała, a potem on. Tylko list od niej dostał — Drogi Stefku — taki dobry, kochany list. Jak się wojna skończy.. Fontanna piasku wyleciała przed plutonem w górę wyrwana wybuchem pocisku, druga na odcinku sąsiedniej kompanji, potem trzecia, czwarta, dziesiąta; zaklaskały pojedyńcze strzały karabinowe, serje cekaemów zakurzyły po kartofliskach.

Marzenia pierzchły, niewiadome nadeszło. Nadeszło w jakże znanej, banalnej postaci. Spojrzał po okopie, ludzie mocniej przywarli do ziemi. Celowniczy przy CKM-ie z jękiem padł twarzą na tylce. Ogień wzmagał się, huk począł się zlewać, wybuchy powtarzały coraz bliżej okopu, gwiżdżąc odłamkami, obsypując kurzem wyrwanej ziemi. Coraz częściej rozlegają się jęki, na znurzone obojętne twarze wypełza niepokój, niepewność.

Czy zdołają wypełnić włożone na nich zadanie?

Czy wytrwają, czy się nie załamią? Czyż nie powinien już dawno wstać, iść do nich, przemówić, podtrzymać słabnących, śmiechem, dowcipem odpędzić, złe, natrętne myśli. A myśl natrętna, rozpaczliwa, tłucze się po zakamarkach mózgu —każdy ruch zwiększa niebezpieczeństwo; wychylić się ze swej nory, to wystawić się na cel pociskom, to iść naprzeciw śmierci. A tyle jeszcze nieziszczonych marzeń, nadziei i tyle osób kochających i kochanych, które czekają. Tak chce się żyć, tak bardzo chce się żyć. Im głębiej, im mocniej przylgnie do ściany tego dołu, tem bezpieczniej, tem większe szanse... I wstał wyprostowany, uśmiechnięty, skręcił papierosa, zapalił i poszedł wzdłuż linji rzucając głośno, przekrzykując huk wybuchów, grube żołnierskie kawały. Ciągnęły za nim rozjaśnione, ufne spojrzenia.

Nieprzyjaciel ruszył do natarcia, poderwał się z niewidocznych stanowisk i szedł ławą, przypadł do ziemi. Rozgadała się cała linja, serje maszynek nieustawały ani na chwilę. Utknął, wsparty odwodami, ruszył znowu. Zatrzyma się, załamie? Nie, nadpływa nowa fala. Już podchodzą do pierwszej linji. Podchorąży Stefan Wóycicki, patrzy, rozważa zimno, ani śladu wahań, umysł pracuje sprawnie. Jeśli się wedrą, zaczną rolować na boki i koniec... Przeciwuderzenie. Jeszcze nie czas... Teraz bagnet na broń—jeszcze chwila. Już. Porwał karabin. Skoczył na przedpiersie okopu. Naprzód. Ruszył, chłonąc całą istotą rozgwar bitewny, grający mu cudowną potężną melodję.

Pluton poderwał się. Wyrwali się z dusznego okopu, rozwinęli, rozbłyśli słońcem na bagnetach, wiatr chłodzi rozpalone czoła. Niema zmęczenia, ciało sprężyste, rześkie, każdy krok jeszcze sił dodaje. Coraz bliżej, bliżej; zewrą się pierś w pierś...

——o——

Mała gromadka posuwa się cicho, wolno przydrożnym rowem. Cztery postacie przygarbione ciężarem noszy potykają się o kamienie. Sylwety drzew rysują się na wygwieżdżonem niebie. Weszli między pierwsze zabudowania. Migotliwe światło latarki oświeca nakryte płaszczem ciało, stukają po bruku ciężkie żołnierskie buty. Szybko minęli kilka ulic.

Cmentarz, w kręgu światła dół z odwaloną na bok świeżą, wilgotną ziemią. Skrzynia jaśniejąca świeżo heblowanemi deskami — trumna. Kilka bliższych krzyży wyłania się z mroku, kilkanaście sylwetek zarysowuje się w chwiejnych nienaturalnych kształtach.

Stawiają nosze na ziemi, przekładają ciało do trumny. Głuchy stuk wbijanych gwoździ. Ruch, szepty—spuścili do dołu, sypka ziemia z szelestem sypie się w ciemną czeluść. Kopczyk ugładzony, krzyż z napisem „Podchorąży Stefan Wóycicki padł na polu chwały w boju pod Pułtuskiem 10.VIII 20 r. Cześć Jego pamięci".

——o——

Wniosek do odznaczenia „Virtuti Militari" Lp. 1. Szarża: podchorąży. Nazwisko i imię: Wóycicki Stefan.

Opis czynu będącego podstawą do odznaczenia:

Dnia 10.VIII.20 podczas ciężkiego ognia artyleryjskiego na pozycję komp. 12 pod Pułtuskiem pchor. Wójcicki chodził wzdłuż linji kompanji dodając żołnierzom otuchy i pobudzając do wytrwania na pozycji. Podczas ataku nieprzyjacielskiego tego samego dnia pchor. Wójcicki z karabinem w ręku będąc daleko na przodzie swojego plutonu porwał podwładnych swoich żołnierzy do zamierzonego kontrataku i dopomógł przez to w wielkiej mierze do odparcia nieprzyjaciela. Ugodzony kulą w piersi padł śmiercią bohaterską będąc do ostatniej chwili przykładem męstwa i odwagi dla wszystkich żołnierzy.

Podpisy przełożonych — dowódcy kompanji, baonu—droga służbowa—pieczęcie i „Wniosek popieram" — dowódca armji.

——o——

Smutne, spłakane oczy błądzą po papierze. Już zmierzch, tak trudno coś przeczytać i oczy tak dziwnie mgłą zachodzą — to chyba ze zmęczenia. Zresztą poco czytać, zna się każdy wyraz, każdy znak na pamięć — Dowództwo frontu, daty, liczby porządkowe — a potem:

Ś. p. pchor. Stefan Wójcicki z 12-ej kompanji 3 baonu 101 p. p. został przezemnie mianowany podporucznikiem dn. 14-go sierpnia 1920 za znakomite prowadzenie plutonu...

Naczelny Wódz udzielił ś. p. podporucznikowi Stefanowi Wójcickiemu z 12 kompanji 3-go baonu 101 p. p. Krzyż „Virtuti Militari". V-ej klasy za waleczność w boju zwłaszcza za bardzo dzielne prowadzenie plutonu i pół kompanji do kontrataku pod Pułtuskiem...

——o——

Światło z pod abażuru pada na biurko. Drobna kobieca ręka szybko kreśli na małym białym arkuszu „...zwracam się do Szanownego Pana Majora o łaskawe nadesłanie cennej pamiątki po naszym chłopcu..."

pchor: *W. Brodzikowski*

„BY NIE POSZŁO W NIEPAMIĘĆ..."*)

Ikonografja Józefa Piłsudskiego — jeszcze dotąd nie zestawiona — zawiera tysiące pozycyj. Od akademickich reprezentacyjnych dzieł mistrzów po niezdarne próby amatorów i dyletantów. Każdy z artystów interpretował na odmienną modłę wizerunek zewnętrzny człowieka.

Dlaczego jednak spośród tylu płócien, a dalej marmurów i bronzów, tak rzadko wyziera dusza Piłsudskiego, jego istota wewnętrzna, skryta w hieratycznie pięknej ludzkiej formie? Mimo niezaprzeczalnie doskonałej techniki, znakomitego opanowania rzemiosła i umiejętności wywoływania pozornych efektów — te dzieła sztuki nie przemawiają do nas. Są bezduszne i martwe. Możemy je podziwiać, przeżywając czysto estetycznie, ale nie stajemy przed niemi wstrząśnięci i olśnieni prawdą wewnętrzną, promieniującą z dzieła sztuki i — serca.

Z iluż wyobrażeń Marszałka bije bezduszność artysty, który nie dorósł wewnętrznie do zrozumienia istoty wielkości. Nie chcemy twierdzić, że trzeba być twórcą kongenjalnym temu, kogo chcemy zakląć w kolor i w formę. Chcąc jednak stworzyć wizerunek człowieka wielkiego, który występuje z ram nietylko codzienności ale i epoki, trzeba sięgnąć do zrozumienia na czem polega ta odmienność, jakie są elementy składowe genjuszu. Trzeba w sobie wypracować stosunek artysty do modelu, w oparciu na ostatecznej syntezie wartości, jakie się pragnie wcielić w bronz i w płótno.

Wspomnieliśmy umyślnie o dziedzinie sztuki plastycznej, chociaż nie o niej chcemy mówić. Może jednak na tym bardziej jaskrawym przykładzie uwidoczni się wyraźniej prawda, rozciągająca się na całą sztukę. Wobec olbrzymiej postaci Piłsudskiego stanęła ona bezradna. Nie potrafiła dotąd stworzyć żadnego dzieła, któreby odpowiadało wielkości Zmarłego.

W dziedzinie literatury, zarówno pięknej jak i naukowej (historji, historjozofji, polityce), mamy wiele prób ujęcia całokształtu postaci Piłsudskiego. Są wśród nich lepsze i gorsze, opracowane źródłowo i po dyletancku, pisane z przekonania; miłości czy wreszcie dla celów bardzo ziemskich.

Nie było natomiast dotąd w naszej literaturze dzieła, któreby oparło się wyłącznie na materjale konkretnym, pozbawionym całkowicie zbędnego nieraz czynnika fantazji i domyślności autora, dzieła, któreby zajęło się wyłącznie materjałem faktycznym z życia Marszałka.

Dopiero ostatnio przybyła nam książka niepowszednia, robiąca zasadniczy wyłom w dotychczasowym szablonie. Mówimy tu o „Strzępach Meldunków" gen. Sławoj-Składkowskiego.

Lektura tej pod każdym względem niepowszedniej książki uzmysławia nam raz jeszcze pozorną paradoksalność tekstu, że w relacji z iście żołnierskich, krótkich meldunków u Wodza można jednocześnie zawrzeć ogrom serca, przepełnionego miłością.

Autor, odgrywający powszechnie znaną i wybitną rolę w wojskowości, a w okresie rządów pomajowych i w polityce — widział — jak sam wyznaje — w Polsce Niepodległej Marszałka przeszło 150 razy. Stary żołnierz Komendanta jeszcze z czasów legjonowych spisał strzępy swych meldunków. Spisał wszystko, tak jak było, „*by nie poszło w niepamięć...*"

Wspomnienia generała mają nietylko wartość dokumentu historycznego, jako wyszłe spod pióra człowieka, który zajmował eksponowane stanowisko polityczne.

Są one niezwykłym dokumentem psychologicznym i ważkim przyczynkiem do zagadnienia sztuki pisarskiej. Być może, że właśnie ta książka wskaże drogę innym autorom, wahającym się jeszcze i niezdecydowanym co do formy swych wypowiedzi.

Istnieje bowiem w Polsce szereg ludzi, powołanych do pisania o Marszałku. Nie mamy tu na myśli zawodowych pisarzów, ale tych wszystkich, którym dane było szczęście długoletniego obcowania z Wodzem.

Niszczycielski wpływ czasu zaciera nieubłaganie ostrość wspomnień. Wygrzebywanie ich kiedyś potem spod popiołów przeszłości jest rzeczą żmudną i czasami zawodną. Rozumiemy dobrze, że nie o wszystkiem jeszcze można pisać. Istnieje wiele zagadnień, o których historja nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego, beznamiętnego sądu. Długie lata będą jeszcze żyli ludzie, odgrywający pewną rolę przy opisie wydarzeń, związanych z życiem Marszałka.

Książka gen. Sławoj-Składkowskiego przekonywa jednak, że można pewne drażliwości przemilczać; czyni to jednak z artystyczną dyskrecją, nie wpływającą to w niczem na plastykę obrazu.

Mimo zewnętrznych pozorów daleko posuniętej osobistości wspomnień w orbicie postrzegań, myśli i uczuć autora widnieje tylko jedna wielka Postać. Ta bezkompromisowa i twarda postawa autora odbija się głęboko i w duszy czytelnika.

W nawale wydarzeń i fragmentów rzeczywistości z lat kilkunastu widzi on tylko człowieka, wokół którego skupia się całe życie polskie. Autor książki usuwa się celowo w cień; z największą powściągliwością mówi o wewnętrznych tajonych

*) Sławoj-Składkowski — Strzępy Meldunków — Wyd. Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski. Warszawa 1936 r.

wzruszeniach, odgrywając rolę medjum, przekazującego czytelnikowi wzruszenia doznane w momentach zetknięcia z Marszałkiem.

„Dużo rzeczy, mówionych przez Komendanta oddać nie potrafię, mimo że zapisywałem je dosłownie w czasie meldowania się"—mówi w przedmowie gen. Sławoj-Składkowski.

„Strzępy meldunków" są więc autentycznem i wiecznem odbiciem słów Komendanta. Domeną Marszałka był czyn. Nie lubił dużo mówić. Jego publiczne — rzadkie zresztą — wypowiedzi są naogół lakoniczne i zwięzłe. Tem cenniejsze są wypowiedziane w ciszy gabinetów słowa, których tylko dalekie czasami echa docierały do społeczeństwa.

W wielu wypadkach rozedrą one zasłonę tajemniczości, czy rozwieją mgliste opary plotkarstwa, żerującego wokół postaci Wielkiego Samotnika z Belwederu.

II Wiceminister Spraw Wojskowych
Gen. Dyw. Felicjan Sławoj - Składkowski.

Historyk i polityk będzie szukał w „Strzępach Meldunków" odbicia ówczesnej aktualności „rzeczywistej rzeczywistości", by przy pomocy tych pierwszorzędnych materjałów rekonstruować możliwie wierny i pełny obraz epoki i symbolizującego ją człowieka.

„Szary człowiek" znajdzie w książce niezliczone mnóstwo szczegółów, odnoszących się do Marszałka. Pomijając liczne drobiazgi anegdotyczne, posiadając też swoją niezaprzeczoną wartość, w świetle meldunków występuje jeszcze raz na jaw niezwykła osobowość Marszałka. Relacja gen. Sławoj-Składkowskiego dostarczają ogromnej ilości pierwszorzędnego materjału do psychiki Wodza. Dopiero przy pełnem wykorzystaniu takich przyczynków jak omawiana książką — będzie można mówić o całkowitej wierności dzieł w rodzaju wizerunku psychologicznego J. P., opracowanego przez Starzyńskiego.

Każda rozmowa z Marszałkiem została przez gen. Sławoj-Składkowskiego zanotowana. Nie pominięto żadnego meldunku, nawet ograniczającego się do paru słów.

Trudno omawiając tę książkę pominąć charakteryzujący ją specyficzny pierwiastek oddania i miłości, promieniujący z każdej, wiernie lecz i sercem pisanej karty. W tej osobliwej atmosferze kultu, jakim autor otacza postać Marszałka, możemy odnaleźć rzeczywiste cechy stosunku do wielkości, przed którą chyli się głowę z oddaniem, z czcią i z podziwem. A obok tych pięknych uczuć występuje najbardziej wysublimowany, najsubtelniejszy pierwiastek miłości. Nie surowa forma uwielbienia, ale najgorętsza, najbardziej ludzka miłość.

W świetle wspomnień gen. Sławoj-Składkowskiego występuje wielokrotnie niezwykły czar i delikatność duszy Marszałka, tak często maskowane żołnierską ostrością.

Z kart tej książki mówi do nas człowiek i rycerz, przewidujący mąż stanu i dalekosiężny polityk. Z każdego jego słowa promieniuje pierwiastek duchowy, tak charakterystyczny dla wielkiego człowieka.

Stosunek Sławoja Składkowskiego do Marszałka przypomina w pewnych zarysach, kult jakim otaczał Mickiewicz postać Napoleona. Mimo surowości wiernych tekstów czujemy w „Strzępach Meldunków" powiew nieomal mistyczny. Rozumiemy dobrze to uczucie. Najwyższe uznanie musi też budzić wysokiej próby artyzm autora, który potrafił przesycić swą książkę niezwykłą, podniosłą atmosferą rycerskiej służby i bezwzględnej ufności, pokładanej w Wodzu.

Kończąc prelekcje paryskie powiedział Mickiewicz: „Wielkimi ludźmi są ci, którzy więcej i lepiej pracując od swoich współczesnych, a zatem zaszedłszy dalej niż oni, potrafili prędzej obudzić w łonie swojem ten zaród Boży, tego Boga tajemnego, co był jedynym doradcą Karola Wielkiego i Piasta, Sobieskiego i Napoleona, doradcą i pomocnikiem..."

„Strzępy Meldunków" wywołują przed naszemi oczyma raz jeszcze postać Wodza. Z wiernością i przepiękną prostotą. Podziwiamy — wraz z autorem — Wielkiego Człowieka, co „więcej i lepiej pracował od swoich współczesnych".

„By nie poszło w niepamięć..."

pchor. *St. Smoleński.*

FRAGMENT Z LOTÓW NA LOTNISKU

Mglisty poranek styczniowy usuwał się leniwie z lotniska, nie chcąc opuszczać zacisznych zakątków pomiędzy hangarami i zabudowaniami. Był jeszcze senny, jak wszystko w naturze w tym czasie i gniewnie podnosił łuki chmur, gdy słońce, nie mniej jeszcze senne, budziło do pracy dziennej.

Nie wszystko jednak spało. Nie wszystko nawet zimą zapadało w odrętwienie.

Mimo zimnych podmuchów i panującego jeszcze mroku, lotnisko żyło. Z przytulnych wnętrz szeroko otwartych hangarów obsługa wyprowadzała ostatnie samoloty. Samoloty ćwiczebne stały już długim wężem przed hangarem, gotowe do lotu.

„Zapuszczać" — padł rozkaz instruktora.

Ostatnie instrukcje przed startem — fot. Łętowski

Za chwilę 10 samolotów warknęło silnikami i czoła ich przysłoniły się jasnemi tarczami wirujących śmig.

Mechanicy grzeją silniki na małych obrotach.

Grupa podchorążych w szyku dwójkowym maszeruje na start. Dziwnie wyglądają ubrani w ciepłe, zimowe kombinezony, podbite barankiem i w hełmach skórzanych na głowie. Robią wrażenie niezgrabnych, leniwie poruszających się postaci.

Na czele grupy kroczy instruktor, rozglądając się uważnie po horyzoncie, po rzadkich chmurkach płynących po niebie, za nim niebieska chorągiew startowa, lekko faluje na słabym wietrze. Za grupą podąża wózek dwókołowy, też koloru niebieskiego, naładowany sprzętem startowym, ciągniony przez dwie postacie o wdzięcznych ruchach niedźwiedzi.

Po niedługim marszu grupa zatrzymała się na skraju lotniska. Chorągiew wbita w ziemię, strzała wyłożona, wózek obok chorągwi. Start zorganizowany. Podchorążowie w szyku w jakim szli usadowili się na przyniesionych, małych, składanych stołkach za chorągwią.

Chorągiew ta jest utrapieniem podchorążych, bo wskazuje „punkt", na który trzeba lądować, a samolot wszak nie zawsze chce siadać tam, gdzie chce podchorąży, a prawie zawsze gdzieś obok. Złośliwi twierdzą, że jest to pomyślane dla utrapienia tylko niektórych przyszłych „asów lotniczych", bo pocóż takie duże pole wzlotów. Chorągiew towarzyszy jednak zawsze grupie, a dla dogodzenia wszystkim wykłada się obok niej na starcie dużą białą płachtę w kształcie strzały.

W tym samym czasie silniki nagrzały się. Świadczyła o tem kolejna próba motorów, a ich wesoły warkot zakłócał ciszę poranku, wpadał ochoczym akordem w ucho i płynął dalej, po całem lotnisku.

Twarze podchorążych ożywiły się, zabłysły oczy, niezgrabne postacie w futrzanych kombinezonach nabrały jakiegoś swoistego życia.

Lekkie podniecenie dało się odczuć w grupie, gdy część samolotów startowała kolejno spod hangarów, wzbijając się w powietrze.

Za chwilę trzy lądowały na starcie naszej grupy podchorążych, siadając tuż przy białej strzale, jakby pod nią ukryty był magnes.

„Podchorąży Jurek poleci na spiral z 1500 mtr. w północnej części lotniska. Na 800 mtr. wyprowadzić i siadać na punkt bez gazu wirażami i ślizgiem. Cała grupa uważać, gdyż każdy z podchorążych wykona to samo".

P. W. S. warknął wesoło i raźnie uniósł w powietrze młodego pilota.

Grupa obserwuje jak samolot wznosi się coraz wyżej i wyżej. Minuty płyną w milczeniu i jakiemś skupieniu. Grupa zwarła się myślami, stanowi jedno wraz z instruktorem i samolotem w powietrzu.

„Uwaga; 1500 mtr.; zaraz będzie wkładał samolot w spiral w prawo".

Jakby czekając tych słów instruktora, pilot ustawił samolot pod wiatr, przymknął gaz i włożył do spirali. Jedna zwitka — dobra, druga — gorsza,

trzecia — samolot dał głowę pod horyzont i przeszedł po czwartej zwitce w korkociąg.

„Na głowie siedzi. Nie obudził się jeszcze" — mruknął do siebie instruktor.

Grupa zamarła w trwożnem oczekiwaniu. Sekunda, druga, samolot spada korkociągiem.

„Puść te stery". — krzyknął instruktor.

Samolot skręcił jeszcze dwie nitki i nagle wyskoczył z korkociągu.

„No trzymaj teraz" — mruczy znowu instruktor i jakby westchnienie ulgi wyrwało mu się nieznacznie z piersi.

„To jest skutek zagapienia się na zegary" — rzucił grupie, „uważać więcej na horyzont".

Za chwilę P. W. S. wylądował, podskoczywszy parę razy dość wysoko, jakby ciesząc się z prędkiego pozbycia się pasażera, mającego niewprawną jeszcze rękę.

„Panie poruczniku, podchorąży Jurek melduje posłusznie, że nie mogłem wykonać spirali; zdaje mi się maszyna wisi i ucieka trochę w prawo" — meldował pilot.

„Głowa podchorążego ucieka chyba i wisi po urlopie świątecznym" —zniecierpliwił się instruktor.

Porucznik W., instruktor, smukły brunet o jasnych szafirowych oczach i lekkim uśmieszku w kącikach ust, (uśmieszek ten najbardziej tremował podchorążych), wsiada do samolotu, rzucając „uważajcie".

Za chwilę ten sam P. W. S. z dźwięcznym warkotem, ślizgał się spiralą w górę, prowadzony przez instruktora. Samolot płynął lekko, prując swobodnie, nasycone wilgocią, powietrze. Leniwie poderwał się do pierwszej beczki, nierad widocznie z zimnej powietrznej kąpieli w szarym dniu styczniowym. Resztę figur następnych robił już chętnie, jakby obudzony ze snu i podniecony wprawną ręką.

Porucznik nie odczuł żadnego nieposłuszeństwa samolotu. Może wtedy, gdy prowadził go uczeń, kaprysił on i płatał figle. Rok już służył grupie i ręka niejednego pilota kiełznała go w locie. Nie pozwalał ujarzmić się prędko, wymagając u pilota subtelności czucia i niemal pieszczotliwego dotknięcia ręki, trzymającej drążek sterowy.

Radosny i zarazem jakby zazdrosny wzrok grupy podchorążych ścigał samolot w powietrzu, obejmował go, podpatrywał każdy ruch. Myśli wszystkich były tam, w powietrzu, obok myśli instruktora, nabierały kształtów woli i postanowienia robić wszystko dokładnie według jego wskazówek.

Samolot posłusznie i płynnie skręcił następnie spiral w lewo, później w prawo, zrobił parę skrętów i warcząc cicho, zgrabnym ślizgiem usiadł tuż przy strzale.

„Dobra — podchorąży Smolarski leci".

Szkolenie biegło szybko i sprawnie dalej, bez żadnych wydarzeń dla oka niewprawnego obserwatora. Ileż ma ono uroku dla dusz skrzydlatych i rogatych jakiemi są dusze lotnicze.

Lotnictwo dla nich to poezja, muzyka, malarstwo. Lotnictwo dla nich sztuką, w której można

Przy „punkcie startowym" na lotnisku — fot. Urban

wyładować najtajniejsze i najskrytsze dążenia, najbujniejszy temperament.

Warkot silnika dla nich, to szum skrzydeł dawnej rycerskiej polskiej husarji to łopot proporczyków na długich ich kopjach, gdy zwartą ławą, ławą niezwyciężoną, niezłamaną, parła w szalonym pędzie do ataku.

Lotnictwo dla nich — to skrzydła Polski.

* * *

Po skończeniu lotów szkolnych, jakże inaczej wracała grupa do hangaru. Nie robiła wrażenia niedźwiedzi, nie szła, a płynęła pod wesołe łopotanie niebieskiej chorągwi startowej.

Wózek zamykający pochód grupy biegł, wesoło podstakując, ciesząc się z udanych lotów i dnia.

Dęblin, C. W. O. L. *Żbik*

WSPOMNIENIA

Pamiętam, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, odznaczałem się niezwykłą spostrzegawczością.

Zapatrzywszy się razu pewnego w obłoki przypadkiem zauważyłem tam samolot. Fakt ten tak zaprzątnął mi głowę, że wracając do domu rozdarłem nowe majtki na drutach kolczastych. I tu dopiero rozpoczęły się moje niepowodzenia. Po pierwsze skonstatowałem, że nie mogłem zwrócić się do matki po informacje co do samolotu, bo jakże tu iść w podartych majtkach. Ale nie było innej rady. Stanąłem przed matuchną z miną jagnięcia i zapytałem:

— Mamusiu, widziałem samolot i... — i tyle tylko zdążyłem powiedzieć. Usłyszałem okrzyk wojenny mojej drogiej mateczki:

— Jezus Marja — nowiutenkie spodnie w strzępy podarł! Oszołomiły mnie suche trzaski i ból poniżej krzyża. Uczułem, że jakaś niewidzialna siła unosi mnie ku górze i zrobiło mi się nad wyraz nieprzyjemnie.

Tak wyglądał mój pierwszy samolot i związana z nim moja pierwsza kraksa. Widocznie nie byłem jeszcze wtedy zanadto doświadczonym pilotem.

Niemiły ten incydent szybko jednak zatarł się w mej dziecięcej łepetynie. Później widywałem wiele samolotów a czasami nawet po kilka razem, jak wykonywały przeróżne ewolucje na podniebnych szlakach. Z całego dziecięcego serca zapragnąłem ujrzenia takiego sztucznego ptaka zbliska.

Pewnego jesiennego popołudnia kaprys losu podsunął mi podobną okazję. Nad drzewami parku, skąpanemi w purpurze zachodzącego słońca, przepłynął na zamkniętym gazie srebrzysty ptak. Smutny jęk prutego bezlitośnie powietrza znaczył jego drogę. Serce załopotało mi w piersiach.

Gdy pierwsze oszołomienie minęło, szybko wdrapałem się na parkan i zauważyłem jak maszyna robi lekki ślizg siadając na piaszczystych wzgórkach odległych o niespełna trzy kilometry. Jeszcze moment — już siedzi. Zeskoczyłem z parkanu i pognałem naprzełaj przez pola jakby mnie sfora czartów goniła. Zapomniałem o wszystkiem. O tem, że matka srogo zabroniła mi wychodzić poza obręb parku, że zostawiłem pięcioletniego braciszka bez opieki, że wreszcie mogę znów podrzeć ubranie lub nabić sobie guza, zapomniałem o wszystkiem. Widziałem srebrnego ptaka złoconego ostatniemi promieniami jesiennego słońca. To był mój jedyny cel. Jeszcze kilometr, pięćset metrów, dwieście — i usłyszałem wzmożony warkot silnika. Maszyna leniwie ruszyła, rolując z zadartym w górę ogonem. Jeszcze parę sekund—oderwała się od ziemi szybując w nieznaną mi dal, w pogoń za zachodzącem słońcem. Biednej ludzkiej ptaszynie, unużanej w błocie po szyję, patrzącej na nią roziskrzonemi ślipkami, nie kiwnęła nawet ogonem na pożegnanie.

To było już życie i pierwszy jego bolesny zawód.

Wracałem z powrotem smutny, ze zwieszoną na piersi głową, brodząc po kostki w błocie. Zmrok zapadł gdy otwierałem drzwi rodzicielskiego domu. Szedłem po posadzce znacząc kroki strugami brudnej wody. W stołowym pokojus potkałem się oko w oko z matką, która załamała ręce na mój nieszczęsny widok. Jednak nie uczyniła mi ani jednego słowa wymówki. Nie wiem, może zrozumiała dziecięcą tragedję lub może przeraził ją mój wygląd zewnętrzny? Nie wiem. Nie pytałem jej o to nigdy.

* * *

Mijały lata szybko, drogie sztubackie lata. Rok za rokiem gonił, rozwiewając się we mgle wspomnień. I oto, od tej pamiętnej szósta z kolei jesień zastała mnie na ławie ósmej klasy gimnazjum warszawskiego. Zbliżała się matura a wraz z nią szereg trosk i kłopotów. Co robić ze sobą dalej? Oto pytanie, które cisnęło się na usta wszystkim moim kolegom.

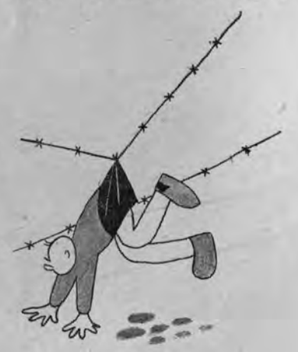

Pełen niepokoju stanąłem przed biurkiem oficera udzielającego informacyj w P. K. U. Warszawa-Miasto II. Bez wykształcenia technicznego nawet marzyć pan o tem nie może — usłyszałem suchą odpowiedź.

Ha trudno — życie nie jest romansem. Jako ochotnik miałem prawo wyboru broni, wybrałem artylerję.

Rozpoczęły się szare dnie otulone mgłą wołyńskich pól. Dzisiaj pozdrawiam cie Włodzimierzu z oddali wspomnień. Podarowałeś mi dużo pięknych chwil i jedną cudowną, której do końca życia nie zapomnę. W twoich murach, w murach Szkoły Pchor. Rezerwy Artylerji, dowiedziałem się o swoim przyjęciu do lotnictwa.

Stało się to jakimś dziwnym zrządzeniem losu. Już przed samym wyjazdem naszym ze Szkoły na praktykę pułkową ogłoszono w rozkazie że, są wolne miejsca w Szkole Pchor. Lotnictwa. Złożyłem podanie, wysłano mnie, na badania i oto jestem dzisiaj w Szkole Orląt.

Panie porucznik! Melduję posłusznie...

* * *

Przesuwają się zwolna szaro-zielone szachownice pól pod płatami maszyny. Strzępiaste łaty lasów rozpływają się w sinej mgle, szosy, tory kolejowe, wąskiemi paskami przecinają równię terenu. Śmigło, błyszczącym kręgiem tarczy obrotu, śpiewa żałosną pieśń, wtórując jękliwej melodji linek. Przedemną, nisko, białe koło z napisem—Dęblin. To lotnisko. Maszyna robi głęboki wiraż i podchodzi do lądowania. Jeszcze chwila a zielone strzępy trawy szybko uciekają do tyłu z pod kół samolotu. Wysiadam.

Panie poruczniku, melduje posłusznie powrót z lotu na trasie Dęblin — Ciepielów — Opole — Kurów — Dęblin.

Mój Potez śmieje się maską do słońca na wolnych obrotach silnika.

* * *

Spełniły się sny młodości a przykre chwile niepowodzeń zapadły w mroczną otchłań niepamięci.

S. P. L. Dęblin Pchor. *Hirsz Zdzisław*

A KTO CHCE ROZKOSZY UŻYĆ...

Ja, ona i cichy park skąpany w bladych promieniach księżyca... Ciemne kontury drzew odcinają się od czerni nieba, na którem w puchach chmurek jasnych kolebie się miesiąc. Swemi wielkiemi nieruchomemi oczyma patrzy na cichy park i na nas dwoje; ja i ona... Małą główkę złożyła na mem ramieniu, czuję ciepło jej rączki w swej dłoni i szepcę jej do ucha słowa, które są tajemnicą tej nocy cichej i których może domyśla się miesiąc, bo dyskretnie przysłania blade oblicze, przejrzystą rozstrzępioną tkaniną chmurki.

Przed nami srebrzy się nieruchoma tafla stawu, w którym odbijają się niebiosa i drzemiący miesiąc. Obejmuję ją ramieniem i przytulam do siebie. Ona odwraca główkę i przymknąwszy oczy, szepcze scicha: pobudka, pobudka Wstawać!

Rzucam się w tył przerażony; głos jej potężnieje, nabiera akcentów twardych i ostrych. Pobudka! Pobudka! — grzmi w mych uszach. Ona chwyta mię za ramię i szarpiąc krzyczy te przeklęte i niezrozumiałe słowa. Kulę się jeszcze bardziej, czuję niewytłumaczony chłód, przemocą otwieram oczy i... czemprędzej zeskakuję z łóżka.

Obraz zmienia się nagle. Nademną sufit, podemną cementowa podłoga pokryta czarnym „plugawym" pyłochłonem, obok mnie łoże moje (O boki moje znękane, o twardą ściółkę tego łoża pobite...) wokół mnie półnagie postacie z łysemi czaszkami w powiewnych kusych koszulinach. Gwar, krzyk, bieganina, zamęt, a nad gwarem góruje głos cienki lecz przeraźliwy, wydający srogie komendy. Po chwili dopiero spostrzegam, że owe krzyki odnoszą się do mnie. Odwracam głowę i jednem okiem doglądając nogę, która celuje w rajtarską cholewę buta, drugiem łypię w stronę, skąd dochodzą mnie wołania.

„Iksiński, lumpie jeden. Czy ja was mam jeszcze długo wołać jak święty Michał djabła? Jeszcze ja was widzę. Jeszcze wy te ślepie na mnie wywalacie?

Wyjazd do działonu! Nabieram rozpędu i wpadam w wir ludzkiej tłuszczy, która kręci się obłędnie w takt dziwacznego tańca wokół łóżek, narzucając pośpiesznie przeróżne części garderoby. Wreszcie taniec ów zaczyna nabierać pewnego rytmu, widać już i rezultaty szybkich ruchów. Oto z kłębu koców i prześcieradeł poczynają wyłaniać się symetrycznie posłane łóżka, równiutko ułożone koce, słowem baterja nabiera „ludzkiego" wyglądu. Ostatnie niezdary naciągają płaszcze, słychać trzask zamykanych szafek, wreszcie wszystko nieruchomieje. Po korytarzu przechadza się szef. Szef—ów pan życia i śmierci nas biednych doniedawna kanonierów, a obecnie niemniej nieszczęsnych bombardjerów. Nawiasem wyjaśnię, że bombardjer jest to artylerzysta noszący na ramionach srebrny pasek, więcej uprawnień regulamin nie przewiduje.

A więc wracajmy do szefa. Boziu, Boziu! ile ten człowiek dał nam w skórę! Cywilu, który będziesz może te słowa czytał, westchnij czasem za nas, ale nie staraj się domyślać naszych przejść, bo osiwiejesz lub wyłysiejesz...

Tak! Dostawaliśmy w skórę, a jednak nikt na szefunia nie powie złego słowa—da się kochać, nie czuje się żalu do tego złotego człowieka. Dlaczego? Trudno mi wyjaśnić. Swem całem postępowaniem potrafił zdobyć nasze serca i wiem, że po latach, gdy te przeróżne momenty przykryje gruby pył zapomnienia, zawsze gdzieś w piersi poczuję ciepłą falę tej sympatji, jaką wszyscy w baterji obdarzamy swego szefunia. No, ale zapuściłem się już zbyt daleko, żaden pył zapomnie-

W południe... fot. Nowak

Przed działownią fot. Nowak

nia niczego jeszcze nie przykrył „te przeróżne momenty" nie przeminęły więc mówmy o nich.

Płyną dzionki za dzionkami, prawie wszystkie podobne do siebie, a jednak ile jest różnych „urozmaiceń", ile zabaw i gier wesołych!

Niewyczerpany w pomysłach szef, wyszukuje coraz to coś nowego, bylebyśmy się tylko nie nudzili. Dziś musztra piesza, jutro komora gazowa. I jedno i drugie ma doniosłe znaczenie dla artylerzysty, a zwłaszcza dla nas „dakowców" (D.A.K. a nie D.E.K. — skrót słowa dekowiec, dekownik t. j. urwipołeć, leń). Wprawdzie nasza musztra nie ma z nią nic poza nazwą wspólnego, gdyż polega na ćwiczeniu biegów długo i krótko dystansowych oraz trenowaniu crawla na suchym lądzie, tem niemniej wyrabia to naszą tężyznę fizyczną, która musi nas jako kwiat młodzieży artyleryjskiej w pierwszym rzędzie cechować. Komora gazowa znowu, daje nam praktyczne pojęcie o mękach przedśmiertnych nieprzyjaciela, którego nasza piechota będzie zagazowywać. I to ma swą rację; trzeba wszak znać nam i odwrotną stronę medalu, trzeba umieć walczyć, trzeba umieć umierać...

Apele, oporządzenia i wszelakiego żołnierskiego moderunku wyrabiają zmysł orjentacyjny, zimną krew i tupet. Najuczciwszy w cywilu kanonier, brzydzący się kłamstwem, z kamienną twarzą, bez zająknięcia się twierdzi, wskazując bezkształtną bryłę błota, że „te buty są wyczyszczone, tylko się trochę zakurzyły". Wprawdzie bierze za to w skórę, ale tupet i zimna krew budzą zachwyt i szacunek. Jak widać życie jest interesujące i błyskotliwe. Gdzież indziej jak tu, sprawia tak wielką rozkosz niedziela, oraz związane z nią przywileje przedłużające spanie o całą godzinę! Gdzież oczekuje się z takiem drżeniem serca urlopu, gdzie liczy się tak dni i godziny dzielące nas od niego? Sam prowadziłem przez dwa miesiące kalendarz, posiadający na każdy dzień rubryczkę, którą pracowicie wypełniałem co wieczór, gdy już nie spodziewałem się żadnych niespodzianek. Nie rzadko zbliżał się do mnie kolega, osowiałem okiem poglądał na „pamiętnik" liczył dni ubiegłe, nieznacznie ocierał oko łzą niemęską zroszone i oddalał się milcząc, a po chwili widziałem go siedzącego nad papierami zadumanego, piszącego list od domu. Raz niedyskretnie zajrzałem do pisma całkiem zresztą niechcący. Zaiste treść była wzruszająca. Siedzę więc teraz zmęczony dniem, takim jeszcze dniem, jakich jeszcze wiele dzieli mnie od was Kochani Rodzice. Pieniądze mi się już zupełnie wyczerpały, żywność również, koniecznie potrzebuję 50 zł., czego i wam życzę, kochający was syn Stach...

List komentarzy nie potrzebuje. Jest najlepszym dowodem, jaką wartość ma to nasze życie, podnoszące do niesłychanej wprost potęgi uczucia nasze do domu i bliskich. Stop!!! przerwa, otchłań, kataklizm... siedzę oto na ziemi. Moje skrawki papieru, na których bazgrzę nieudolnie te zwierzenia, walają się w pyle podłogi, a nademną góruje i rośnie w oczach mych przerażonych groźna postać szefa...

Włodzimierz S. P. R. A.

Bomb. z c. *Lövis of Menar.*

PIERWSZY ALARM

Alarm!!! — Rany Boga!!! Zlatuję z wyżyn mego łoża jak huragan, ląduję bez kapotażu na karku mego sąsiada „zdołu" i na tymże karku dopływam do szafki, na której są umieszczone gomółki mego ubrania. Błyskawicznie naciągam spodnie, lecz o zgrozo! Ubrałem cudze spodnie cisną mnie piekielnie pod pachami. Jeszcze bardziej błyskawicznie ściągam je i ubieram swoje własne. Po dłuższej walce z owijaczami i butami, rzucam się z furją na plecak, koc i różnego rodzaju worki i woreczki, jedne wpycham w drugie, zapinam, związuję, aż utworzyłem z nich jedną wielką mieszaninę troków, sznurów i sprzączek.

„Kto ze mną zroluje koc?" Drę się z rozpaczą, — „pomóżcie, nie bądźcie pawjanami". Nikt nie słucha. Wszyscy uganiają jak furjaci dookoła łóżek, depczą, tratują „sieką tną" i taka straszna groza mnie ogarnia, że czuję, jak moje biedne, króciutkie włoski, nerwowo podrygują wgórę. Teraz już wiem, co potrafi ludzki żywioł. Ze smutnym uśmiechem rozgoryczenia sam zwinąłem koc i przytroczyłem go do plecaka; zwisnął, jak omdlała syrena na ostrej skale. Jeszcze menażka!—Skoczyłem jak żbik na półkę mojej szafki i stanowczym ruchem zdjąłem z niej instrument, z wnętrza którego, tyle już darów bożych, obsunęło się do mojego „trawnika" (żołądka). Zespoliwszy ów wspomniany objekt z podejrzanie wydętym tornistrem, zacząłem szczypać i tulić moje własne łoże, aby uczynić z niego obraz i podobieństwo pierwowzoru.

Zarzuciwszy kocem nr. 2 miejsce mojego nocnego spoczynku, podłożyłem z pokorą swój „grzbiet" pod jarzmo „Rücksacka" i wyskoczyłem z sali z głową wysuniętą wprzód jak wyskakuje do walki rasowy, wypoczęty, hiszpański byk. Porwawszy do ręki karabin, zawinąłem nim nad głową młynka i z rykiem zapału wyleciałem na plac alarmowy. Tutaj stanąłem w miejscu jak wryty i z bólem w sercu stwierdziłem fakt, że jestem ostatni.

Na nic nie przydały się te rozpaczliwe poryki, na nic te szalone skoki, wszystko na nic—jestem ostatni.

Z głośnym pomrukiem pochodzącym z serca i z jeszcze głośniejszem sapaniem, płynącem z duszy, zgnębiony i zły wróciłem do sali.

Na drugi raz będzie pewnie lepiej, a może... jeszcze gorzej?!..

A kysz!!!

Strzelec z cenz. *L. Krysa.*

16-lecie odzyskania morza uczcimy najlepiej składając ofiarę na budowę łodzi podwodnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

NOC NA ĆWICZENIACH

Wśród drzew, jak duchy, jak gromada gnomów, cieniów szarych i drżących, posuwa się, oddział zwartym szykiem cicho i bez słów. Śnieg pod stopami chrzęści, wiatr po wierzchołkach drzew gałęziami trąca i jęk głuchy idzie od drzewa do drzewa, jęk skargi i trwogi, jęk dreszczem przejmujący...

Wdali za nami miasto żegna nas błyskami świateł, a ponad głowami lśni niebo iskrami gwiazd.

...Idziemy. Śnieg głuszy i tłumi kroki, szum tylko miarowy idzie za nami...

Dookoła drzew, krzaków, suchych łodyg chrustu, drążą się w oczach cienie, ogromne długie, dziwaczne, jak senne mamidła...

Wyszliśmy z lasu. Przed nami przestrzeń wolna od drzew, poryta jarami, na szkarpach czarnieją tylko krzaki. Na widnokręgu jak garb potworny wznosi się szczyt wzgórza, a hen, długim szeregiem stoją chłopskie chałupy.

Cicha komenda — trzech odłączyło się od oddziału. Na karabinach w refleksie śniegu zabłysły bagnety. Czuj duch! Stanęliśmy. Dowódca placówki daje ostatnie rozkazy i — odszedł.

Zostaliśmy sami, we dwuch tylko. Oczy szeroko otwarte chłoną ciemność i ostrzem stali zdają się przebijać noc, a serca tłuką się w piersiach w oczekiwaniu na coś, co przyjdzie z tej ciemności co nadejść musi — zdaje się, że piersi rozwalą, że bicie ich jak bicie w bębny rozlega się daleko wśród ciszy.

Drgnąłem. Jakiś szelest z wiatrem doleciał uszu. Trąciłem towarzysza. Ręką dał znak ciszy. I znów spokój, tylko te przeraźliwe dzwony w uszach i dudnienie własnego tętna.

Szelest się znów powtórzył, wyraźniejszy już, już ciche kroki słyszeć się dały. Zamajaczyły cienie szare na śniegu i przybrały sylwetki ludzi. Wyraźnie skradali się do nas na palcach, śnieg skrzypiał tylko pod ich stopami.

Stój! Kto idzie! — krzyknąłem. Stój! — powtórzyłem gdy sylwetki zbliżać się poczęły — i trzask zamka, błysk i huk, który zagrzmiał jak grzmot wśród głuchej tej nocy.

Daleki, długi gwizd — znak zbiórki. Za chwilę maszerowaliśmy z powrotem tą samą drogą ze śpiewem. Wracaliśmy jak zwycięscy, weseli, szczęśliwi, upojeni myślą, że tam w koszarach czekają na nas wygodne wojskowe łoża, na których z rozkoszą swe członki złożymy, a na których tak bosko się śpi.

Strz. z cenz. *R. Gürtler*

UŁAŃSKA LIRYKA

Morze bywa stalowo szare, ciemno zielone, czasem białe od piany, czasem modre. Modre jest morze na pocztówkach odbitych prymitywną techniką nakładania kolorów. Żółty pas plaży oddziela modre od błękitnego nieba i czarnego napisu Nice Stolp czy Olisingen.

Szczęśliwy człowiek, który na własne oczy zobaczył lekko zmarszczoną powierzchnię wody, złoto wybrzeża i błękit nieba, promienie słońca odbite od tafli. Patrzył na świat kontrastujący z ciemnią oczu ukochanej, czernią jej włosów. Barwy i kształty tworzą istotę piękna. A statek płynął prując przestrzeń czernią kadłuba, lśniąc bielą pokładów.

Szczęście składa się z chwil, a czasem jest jedną chwilą — chwilą, po której można umrzeć jak po ujrzeniu Neapolu... Często przeklinamy te chwile cudne za ich krótkotrwałość i złudę, choć bez nich ginęlibyśmy w nudzie codziennej. a potem ciężko jest uprzytomnić sobie, że przeżyliśmy szczęście, że wszystko już za nami.

Jakby dzisiaj wypowiedziane brzmiały mu w uszach słowa: „jesteś młoda... o tyle lat młodsza ode mnie — czy można powiedzieć Ci prawdę — wszystko co czuję" a jakiś głos zapytał w sercu, że za miesiąc może być już za późno — że kwiaty hodować trzeba, a nie pozwalać się rozwijać na wichrze i burzy.

Ale słowa marły na ustach, gdy serca splatały się w jednem wspólnem dla wszystkich poczuciu piękna. Białe mewy sfrunęły gdzieś z nieboskłonu i kładły się na falach. Białozieloną wstęgę zostawiała za sobą śruba. Ciemna zieleń lasu koronowała nad piaskiem i bielą willi. A za statkiem czarne szluzy kanału, i podnoszony most, i z czerwonej cegły wzniesione budynki portowe.

Ginął kontrast, rozpływał się świat w ciemni jej oczu, czerni włosów i czerwieni płonącego zachwytem serca. Świat zlewał się w jedną tęczową plamę dając tło dla jej postaci. A postać rosła, świat malał w oczach i blakły kolory, ginęły kształty świata przy jej kolorach, przy jej kształtach. Miłość, dziwne i niespodziewane zjawisko wyimaginowała ją do wielkości marzenia.

„Chodźmy już" — to jest naprawdę piękne, ale robi się coraz chłodniej. Czyjś głos rozsądku przywrócił światu jego stare, tyloletnią tradycją uwieńczone kształty. „Tęczę" barw pokrywał granat nocy — morze spieniło się — został widoczny blask jej oczu — czerwień serca... czerwień, czy amarant?

* * *

O godzinie 5,17 czerń nocy za oknami koszar oświetla szereg jasnych kwadratów: dekoracja pociągu na futurystycznem przedstawieniu. Szwadron śpiewa właśnie o rannych zorzach, którym nie spieszno jeszcze do nas. Migają jasne kwadraty okien unosząc z sobą płód nieprzespanych nocy, atramentową wizję uczuć, białą kopertę ze skromnym znaczkiem „za piętnaście" i nieśmiałą pieczątką „opłata ulgowa".

Słowa wtłoczone w zdania w tysiącach listów, mówią o sercu, o miłości, o tem, że może już niedługo... Pół sekundy migają kwadraty, spieszno im. Tam hen w Warszawie, Poznaniu czy Wysuczce, poczta Barszczów, ktoś czeka na listy, ktoś z góry przygotowuje odpowiedź.

Bo przecież nie chodzi o słowa. Treścią jest kształt prostokątnej koperty, liljowa podszewka i znajomy kolor atramentu. Więc odpowiedź mija się z listem by donieść, że ona czeka, że jej serce także... Szwoleżerska czapka listonosza ukazuje się w okienku frontowych drzwi. Nieme

pytanie wyziera z ciemnych oczu, po co ten list, co za sens psuć atrament i papier listowy. A piętnaście groszy to duża suma. Za koszt dwóch listów można było dostać naturalną oranżadę na statku... Po co ludzie piszą listy. Przecież trudno wymagać odpowiedzi tylko dlatego, że pół roku temu miało się przyjemność wspólnie oglądać Palais de Justice?

Zresztą teraz czeka właśnie na telefon, który jest rzeczą o wiele bardziej atrakcyjną.

W Warszawie jest zawsze jasno, gdy świeci pomarańcz słońca lub czerwień reklam. Reklamy palą się jeszcze długo w nocy, gdy pod stereotypowo puchową kołderką... więc nawet w nocy trudno jest wyśnić taki kąt, w którym jasne kwadraty okien pociągu są jedynem światłem jeśli nie dla oczu to dla duszy.

Biała kora brzozowa, nawet pod osłoną nocy nie zmienia swej barwy, tylko korony stają się ogromne i dzikie w złowieszczym szumie. Cicho zrazu wplątuje się w poszum drzew melodja o ułanach z pod Samosierry. Pod puchowemi kołderkami wyśnione amaranty wyszły na świat w postaci dumnej kawaleryjskiej piosenki. Głucho stąpają kopyta końskie po zmarzłej ziemi. Smętny jest powrót z ćwiczeń nocnych. Bo choć czekają ciepłe koszary, ćwiczenia to bajka o historji, bo w mroku jednako wygląda bronz kożuszków, ochronna zieleń mundurów i amarant samosierskich ułanów. Minęły niepowrotnie szarże; z motyką na słońce, z szabelką na C. K. M.'y! i tylko noc pozwala nam marzyć o nowych triumfach kawaleryjskiego oręża.

Jego zmęczone oczy patrzyły bezprzytomnie na drogę i migające cienie. Mózg przesuwał poraz setny niegodziwą prawdę. I to był ten list, na który czekał tygodniami. List pogodny nawet wesoły donosił o Warszawie, o zabawach, o tem, że właśnie poznała... że bardzo sympatyczny, że wreszcie jedyną ciemną plamą w jej życiu są listy od niego, że wogóle niema sensu przejmować się i pisać — ostatnie rady przyjacielskie i żegnaj!

Głupie pytania cisną się do głowy, dlaczego koń nie zrzuci go, nie stratuje. Dlaczego wypadki na ćwiczeniach zdarzają się tak rzadko, dlaczego niema wojny. „V. M." na niebiesko czarnej wstążce ma swą wymowę, gdy zdobi pierś lub częściej trumnę. A dziś, każda próba bohaterstwa zamienia się w dziecinadę. Łatwo napisać „nie przejmuj się", trudniej powiedzieć, a jakże trudno wykonać. Gdy palce skrwawią zadry koniowodnego łańcucha, gdy granat poharata ciało powiedzcie mi: „głupstwo", a ja gwizdnę na ból i krew.

Ale gdy granat listu rozrywa serce?

Erotyka — liryka, czy wiesz jakie ordynarne mają zakończenie, czyż nie szlachetniejszą jest choćby szklanka vermuthu w „Królewskim Dworze".

Mózg daremnie szuka odpowiedzi i zna obojętne pytanie.

Czy widziałeś zachód słońca w Holtenen?

St. uł. z cenz. *Zieleniewski*

KONFLIKT WŁOSKO-ABISYŃSKI A ZAGADNIENIE MANDATÓW.

(Korespondencja własna)

Rzym, styczeń 1936 r.

Pierwszą fazę konfliktu włosko-abisyńskiego należy uważać za całkowicie zakończoną. W tym czasie poza kulisami opinji międzynarodowej, odbywała się walka interesów w łonie trzech mocarstw, związanych paktem z 1906 roku. Inicjatywa była najzupełniej w ręku Włoch. Zamknięciem tego okresu była właściwie sierpniowa konferencja Trzech w Paryżu. Rola Francji jako arbitra pomiędzy sprzecznemi interesami Italji i Wielkiej Brytanji skończyła się niepowodzeniem.

Zatarg włosko-abisyński przekształcił się w ostre starcie interesów italo-brytyjskich. Terenem rozgrywki stała się Liga Narodów. Zagrożona w swym prymacie światowym Anglja wyrwała incjatywę z rąk Italji i rozpoczęła brawurowy atak przeciwko roszczeniom włoskim, wspaniale wykorzystując Pakt Ligi Narodów jako instrument obrony interesów imperjalizmu brytyjskiego. Włoska dyplomacja ponosi konsekwencje zbagatelizowania Genewy i zaliczenia Paktu Ligi Narodów do zbędnych rekwizytów. Nad światem zawisła nieomal groźba konfliktu włosko-angielskiego. Niezmiernym jednak prymitywizmem i krótkowzrocznością grzeszyłby pogląd, że w tej właśnie fazie i na tym terenie konflikt włosko-abisyński znajdzie swe rozwiązanie.

Wielkiej Brytanji grozi popełnienie błędu italskiego a rebours. W impecie ofenzywy, w oparach powodzenia, dyplomacja angielska przecenić może znaczenie forum genewskiego. Poza Ligą Narodów znajdują się wielkie mocarstwa, które jeszcze nie zabierały głosu a które mogą mieć wiele do powiedzenia. Przedewszystkiem Niemcy. Wobec kompromisowego siłą rzeczy stanowiska Francji w sporze italo-brytyjskim, ewentualność wystąpienia Niemiec z żądaniem rewindykacji kolonij może stworzyć całkowicie nową sytuację. Postawienie na porządku dziennym zagadnienia rewizji mandatów kolonjalnych odrazu rozszerzy płaszczyznę konfliktu i wprowadzi w grę nowy układ sił. W sprawie rewizji mandatów interesy Włoch i Niemiec nie tylko nie są sprzeczne, lecz mają szereg punktów stycznych. I nie tylko Włoch i Niemiec!

Dla uwypuklenia możliwego rozwoju wydarzeń należy sięgnąć do niezawodnego języka liczb i faktów. Kryją się poza niemi ogromne zasoby energji w stanie potencjalnym, która wyzwolić się może w związku z dalszym rozwojem

Włoskie haubice na pozycji

Wojownik abisyński w paradnym stroju.

konfliktu italo-etjopskiego. Poniższa tablica powierzchni i ludności państw, mających kolonje, dominja, protektoraty i mandaty, obrazuje obecny stan posiadania poszczególnych mocarstw i ich rolę światową:

Państwa	Powierzchnia w tys. km²		Ludność w miljonach	
	Ogółem	w tem w posiadłościach	Ogółem	w tem w posiadłościach
Anglja	33.494	33.250	495,0	448,7
Francja	12.499	11.948	107,0	65,0
Pozostałe państwa	21.028	11.472	415,4	130,8

Już pierwszy rzut oka na te liczby stwierdza decydującą przewagę Wielkiej Brytanji w podziale dóbr światowych. Jeśli zaś zwrócić uwagę, że powierzchnia metropolji wynosi zaledwie 1% a posiadłości, 99%, ludność zaś odnośnie 10% i 90%, zrozumiałą stanie się energja i wytrwałość, z jaką dyplomacja angielska przystąpiła do obrony niepodległości Abisynji w obawie, że z takim kunsztem utrzymywana równowaga wewnętrzna imperjum brytyjskiego może być naruszona.

Wobec tego, że terenem konfliktu jest Afryka, na specjalną uwagę zasługuje podział kolonji na terytorjum Czarnego Lądu. Niżej podana tablica kolonji, dominjów, protektoratów i mandatów państw europejskich przedstawia obecny podział terytorjów pomiędzy poszczególne państwa:

Państwa	Powierzchnia w tys. km²	Ludność w miljonach
Francja	10.882	39,4
Anglja	9.948	56,9
Belgja	2.440	13,5
Włochy	2.257	2,4
Portugalja	2.069	7,3
Hiszpanja	334	1,0
w Afryce	27.930	120,5

Liczby te jednak wymagają pewnej korektywy. Mianowicie przewaga Francji nad Anglją jest tylko nominalna, albowiem w skład posiadłości francuskich wchodzi Sahara. Również złudną jest pozycja Włoch, gdyż kolonje włoskie składają się nieomal wyłącznie z terenów pustynnych. Więc i w Afryce Wielka Brytanja posiada całkowitą preponderancję kolonjalną.

Ten stan rzeczy w pewnej mierze jest rezultatem Wielkiej Wojny. Przegrana Niemiec nie tylko wzmaga brytyjski i francuski stan posiadania, ale co najważniejsze usunęła pełnego żywotności i prężności konkurenta, jakim były Niemcy. Coprawda kolonje niemieckie i posiadłości tureckie nie zostały wprost przekazane zwycięskiej koalicji mocarstw, lecz przydzielone im jako mandaty z ramienia Ligi Narodów. Nie zmienia to jednak istotnego sensu gospodarczo-politycznego dokonanego podziału. Podana tablica przedstawia obecny podział mandatów pomiędzy poszczególne państwa i znaczenie gospodarcze tych mandatów:

Mandatarjusz	Mandat	Powierzchnia w km²	Ludność w 1933 r.	Import w 1933 r.	Eksport w 1933 r.
Anglja	Togo	34.292	293.671	Ł 18.464	Ł 96.114
„	Kamerun	88.671	780.800	Ł 117.092	Ł 168.037
„	Tanganayka	968.871	5.063.660	Ł 1.946.687	Ł 2.725.877
„	Afryka płd.-zach	834.990	273.333	Ł 1.048.554	Ł 1.455.728
„	Nowa Gwinea (Nowa Gwinea, Nowa Irlandja, Nowa Brytanja, Wyspy Salomona)	236.645	406.344	Ł 912.365	Ł 1.581.272
„	Nauru	21	2.641	Ł 97.684	Ł 436.785
„	Samoa	2.934	52.199	Ł 150.902	Ł 173.837
„	Palestyna, Transjordanja	63.336	1.038.331	Ł 11.123.489	Ł 2.591.617
	Razem	*2.229.760*	*7.910.979*	*Ł 17.405.037*	*Ł 9.219.267*
Francja	Togo	52.000	753.811	Fr. 41.605.232	Fr. 28.253.186
„	Kamerun	429.750	2.298.495	Fr. 75.263.000	Fr. 77.562.000
„	Syrja, Liban	161.000	2.656.596 (1929 r.)	Fr. 903.523.000	Fr. 347.666.000
	Razem	*642.750*	*5.707.902*	*Fr. 1.020.391.232*	*Fr. 453.481.186*
Belgja	*Ruanda Urundi*	*53.200*	*3.053.863*	*Fr. 27.559.496*	*Fr. 15.646.005*
Japonja	Wyspy Marjańskie, Karolińskie, Yap i Marschall'a	*2.149*	*82.252*	*Yen. 6.588.000*	*Yen. 13.898.000*

Jak widać, podział mandatów został właściwie dokonany pomiędzy Anglję i Francję, przyczem lwia część przypadła imperjum brytyjskiemu. W rzeczywistości angielski stan posiadania wzmógł się w jeszcze większym stopniu. Do mandatów nie są zaliczone, królestwo Iraku z powierzchnią 371.000 km², ludnością 2.849.000, przywozem zł. 174.000.000 i wywozem zł. 71.000.000 (Irak w roku 1932 na mocy uchwały Ligi Narodów stał się odrębnem państwem) oraz państwa półwyspu arabskiego, stanowiące właściwie sferę wpływów Wielkiej Brytanji.

Rozdziału mandatów dokonała Rada Najwyższa na posiedzeniach z 7 maja 1919 r. i 20 kwietnia 1920 r., przyczem mandaty podzielono na trzy grupy: A, B, C. Do grupy A zaliczone zostały terytorja, ludność których dojrzała do samodzielności, jednak na okres formowania się została uznana za niezbędną opieka jednego z mocarstw koalicyjnych. Są to: Syrja, Liban, Palestyna, Transjordanja i Irak (do 1932 r.). Do grupy B — terytorja z ludnością na takim poziomie cywilizacji, że niezbędnem było przekazanie administracji jednemu z mocarstw koalicyjnych. Są to: Togo, Kamerun, Tanganayka i Ruanda Urundi. Do grupy C—terytorja, które z powodu małej gęstości zaludnienia, niewielkiej powierzchni, odległości od centrów cywilizacji lub z innych względów najlepiej mogły być administrowane według wewnętrznych praw państw mandatarjuszy. Są to: Afryka Południowo-Zachodnia, Samoa, Nauru, Nowa Gwinea oraz wyspy Marjańskie, Karolińskie, Yap i Marschall'a.

Dla oświetlenia koncepcji mandatów według Paktu Ligi Narodów przytaczamy in extenso najbardziej zasadnicze paragrafy artykułu 22-go, dotyczące tej kwestji:

„Do kolonij i terytorjów, które w wyniku ostatniej wojny, przestały się znajdować pod władzą państw, przedtem niemi zarządzających, a które są zamieszkane przez ludy, niezdolne do rządzenia sobą w trudnych warunkach nowoczesnego świata, zostanie zastosowana zasada, iż dobrobyt i rozwój tych narodów jest świętem zadaniem cywilizacji i że gwarancje wykonania tej zasady będą musiały być wprowadzone do niniejszego paktu". (§ 1).

„Najlepszą metodą praktycznego zastosowania tej zasady będzie powierzenie opieki nad tymi ludźmi narodom postępowym, które dzięki swym środkom, swemu doświadczeniu i swej pozycji geograficznej, mogą najlepiej przyjąć tę odpowiedzialność i będą w stanie przyjąć zlecenie tego rodzaju; ta opieka musiałaby być przez nie wykonywana w charakterze mandatarjuszy Ligi i na jej rzecz" (§ 2).

„Charakter mandatu będzie musiał się zmieniać w zależności od stopnia rozwoju ludu, położenia geograficznego terytorjum, jego warunków ekonomicznych i innych podobnych okoliczności (§ 3).

„Niezależnie od rodzaju mandatu, mandatarjusz przedstawi Lidze roczne sprawozdanie, dotyczące powierzonego mu terytorjum" (§ 7).

„Stopień władzy, ingerencji i administracji wykonywany przez mandatarjusza, będzie w każdym wypadku wyraźnie ustalony przez Radę, jeżeli nie był uprzednio ustalony przez członków Ligi (§ 8).

„Zostanie utworzona stała Komisja dla otrzymywania i studjowania rocznych sprawozdań mandatarjuszy i opinjowania przed Radą we wszystkich sprawach dotyczących sprawozdań mandatarjuszy" (§ 9).

W ten sposób Pakt Ligi Narodów w odniesieniu do sprawy mandatów stał się jakgdyby figowym listkiem dla przykrycia zdobyczy kolonjalnych Wielkiej Brytanji i Francji. Zagadnienie mandatów jest wobec tego jednym z najbardziej elastycznych punktów Paktu, nie harmonizujących ze wzniosłymi, ogólno-ludzkimi celami, w imię których powołano do życia Ligę Narodów. Przyciśnięte do muru i otoczone Włochy mogą się uczuć zmuszone sięgnąć po ostateczne atuty, do jakich w pierwszej linji zaliczyć należy sprawę rewizji mandatów. Nie należy wątpić, że rzucenie tej sprawy na forum międzynarodowe, wywoła odpowiedni rezonans.

pchr. rez. art. *Bronisław Krystyn Wierzejski*

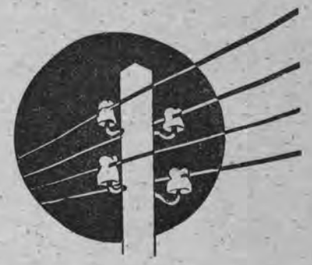

O SPORTOWYCH KLUBACH FABRYCZNYCH SŁÓW KILKORO

Aby uniknąć ewentualnych nieporozumień co do istoty niniejszego artykułu, pozwolę sobie we wstępie zdefinjować, jakie kluby sportowe mają być objęte poniższemi rozważaniami. Otóż do klubów fabrycznych zaliczam te wszystkie kluby sportowe, które istnieją i pracują przy większych zakładach przemysłowych, są subwencjonowane przez te zakłady i ściśle od nich uzależnione w zakresie gospodarki finansowej. Typowemi przykładami będą tu tego rodzaju organizacje, jak Skoda, C. W. S., P. Z. L., I. K. P. i inne.

Powstanie sportowych klubów fabrycznych jest wynikiem zdrowej myśli społecznej kierowników wielkiego przemysłu, efektem ich troski o wychowanie fizyczne i moralno-etyczne rzeszy robotniczej, zajętej zawodowo w danym zakładzie przemysłowym. Omawiane kluby powstawały jako placówki pracy kulturalnej, rzadko tylko o charakterze wyłącznie sportowym; normalnie sekcje sportowe tworzyły się w fabrycznych organizacjach kulturalno-oświatowych obok innych tego rodzaju, jak koło dramatyczne, chór, bibljoteka, orkiestra i t. p. Ideą przewodnią organizowania robotniczych placówek kulturalno-oświatowych przy fabrykach jest dążenie przemysłowców do zajęcia robotnikom czasu wolnego od pracy w ten sposób, by ten ich wolny czas mógł być wykorzystany z punktu widzenia społecznego pożytecznie; krótko mówiąc, chodzi o odciągnięcie robotników od barów, szynków i alkoholu, kart i innych tego rodzaju zakazanych przyjemności i rozrywek. Siłą rzeczy jednym ze środków

tego rodzaju akcji stać się musiał sport, jako czynnik niezmiernie ważki z punktu widzenia atrakcyjności dla młodzieży robotniczej; stąd szczególna opieka, jaką sekcje sportowe cieszą się u kierownictw poszczególnych fabryk. Omawiana akcja, oprócz znaczenia natury ogólno-ludzkiej posiada również korzystną dla fabrykantów stronę psychicznego nastawienia robotników w stosunku do pracodawcy; wytworzenie u robotników poczucia szowinizmu lokalnego, rozszerzenie związku z fabryką na prywatne życie pracownika, praca osób rządzących i rządzonych we wspólnej dziedzinie poza-fachowej — wszystko to wpływa na zatarcie różnic klasowych między pracodawcą i jego bezpośrednimi mandatarjuszami, a masą robotniczą, wytwarza przyjazne nastawienie psychiczne robotników w stosunku do pracy i fabryki — a są to momenty, których znaczenia lekceważyć nie można i które mają wpływ nawet na tak pozornie dalekie sprawy, jak wydajność pracy i łatwość powodowania rzeszą robotniczą bez poważniejszych zgrzytów i zatargów. Nie trzeba również pomijać ważnego dla przemysłu czynnika reklamy, jaką działalność klubu fabrycznego może dać swemu zakładowi.

A więc — z punktu widzenia kapitalistycznego i społeczno-etycznego — wszystko w porządku. Założenia logiczne i zdrowe. Ale — jak wygląda realizacja tych pięknych idei i założeń?

Siłą rzeczy na decydujących stanowiskach w klubach fabrycznych znajdują się wszelkiego rodzaju „szyszki": dyrektorzy naczelni i personalni, kierownicy i inne utytułowane i „ważne" osobistości. Istotny jednak wpływ na kierunek pracy organizacji mają ludzie skromniejsi: majstrzy fabryczni, zainteresowani urzędnicy i inni, stojący na niższych stopniach fabrycznej hierarchji. Wszyscy ci istotni działacze, pracujący na stanowiskach kierowników sekcyj i podobnych, są ludźmi w całem tego słowa znaczeniu: ambitni, odpowiednio ograniczeni i niezawsze zadający sobie trud zgłębienia celu pracy klubu fabrycznego. Stąd cały szereg szkodliwych komplikacyj.

Zaczyna się historja od tego, że ambicja kierowników poszczególnych sekcyj klubu fabrycznego domaga się, by właśnie ich klub znalazł się jaknajszybciej w pozycji przodującej na terenie uprawianego sportu. Ambicja ludzka i zrozumiała. Sęk w tem, że ta ambicja każe szukać dróg nie tyle najetyczniejszych, ile najłatwiejszych. Pierwszym krokiem ku zorganizowaniu mocnej sportowo drużyny jest rozejrzenie się wśród robotników, pracujących w danej fabryce. Normalną rzeczy koleją znajdą się wśród nich dobrzy sportowcy, członkowie już istniejących klubów sportowych. Gorliwi działacze zainteresowanego klubu fabrycznego zaczynają się zabawiać w poławiaczy „gwiazd". Nie można otwarcie komuś powiedzieć, że ma się zgłosić do klubu fabrycznego, ewentualnie — „fora ze dwora": można jednak dać to do zrozumienia, można zastosować lekkie presje w postaci utrudnień w pracy zawodowej, w uzyskaniu urlopu, obcięciu stawki płacy; można zastosować tysiąc drobnych posunięć dyplomatycznych, omotać ofiarę siecią intryg i intryżek. Można również roztoczyć przed nią jasne i łakome perspektywy podwyższenia płacy, przydzielenia lepszej pracy, otoczenia szczególną opieką ze strony władz fabryki i t. p. Skutek — łatwy do przewidzenia; ofiara poddaje się, powierzając swą niezależność i przyszłość sportową rękom często nieprzygotowanych do tego rodzaju pracy filarów klubu fabrycznego.

Ale jeszcze nie wszystkie możliwości zostały w ten sposób wyczerpane. „Poławiacze" pracują dalej, na innym terenie. Orjentują się, którzy z dobrych sportowców są „bezrobotni", ewentualnie pracują na słabo płatnych stanowiskach. I znów zaczynają się zabiegi dyplomatyczne. Obiecanki, cacanki, posada, lepsza płaca i t. d. Trudno, ludzie nie są z żelaza, sportowcy też. Drużyna fabryczna rośnie w siłę, zaczyna być potęgą sportową. To nie jest „kaperowanie" zawodników, bo ten zabieg jest surowo wzbroniony i karany. Ale przecież zawodnik może sam zgłosić chęć przeniesienia się do klubu fabrycznego — i jest wszystko w porządku.

W tem właśnie zagadnienie — czy naprawdę wszystko jest w porządku? Czy tak pojęta praca klubów fabrycznych jest dla sportu, jako ruchu, pożyteczna? Czy wreszcie jest zgodna z założeniami i podstawą ideologiczną, na której powstały kluby fabryczne?

Rozważmy to zagadnienie. Jest rzeczą oczywistą, że kluby fabryczne powstały dla robotników pracujących w danej fabryce, dla uczynienia zadość ich potrzebom z zakresu wychowania fizycznego. Nie jest natomiast odwrotnie, t. zn., że kluby fabryczne nie powinny i nie mogą brać na siebie roli biura pośrednictwa pracy w stosunku do danej fabryki, tembardziej, że zwykle dostarczają... bardzo kiepskich pracowników. Sportowiec, którego się poszukuje, zaprasza i ściąga do klubu za cenę uzyskanej pracy, uważa w swojej podświadomości, że z tytułu jego sportowych umiejętności należą mu się szczególne uprawnienia na terenie fabryki. Często się zdarza, że niewykształcony fachowo sportsman dostaje w fabryce posadę robotnika wykwalifikowanego, dla uzyskania wyższej stawki płacy; skutek oczywisty: strata dla fabryki w postaci zmarnowanego materjału, strata dla zainteresowanego w postaci demoralizacji w zakresie etyki pracy. Pozatem — spaczeniu ulega treść istnienia klubu fabrycznego — gdyż klub taki, zapominając o wychowaniu fizycznem dla mas robotniczych przechodzi na hodowlę „koni wyścigowych", utrzymuje „stajnię" sportowców — może wartościowych, może cennych — ale z ogólnego punktu widzenia zwykle zdegenerowanych psychicznie i etycznie, a więc szkodliwych. A rzesze robotnicze, dla których właściwie klub został zorganizowany, cieszą się pełnieniem roli szowinistycznych — kibiców...

Sport ma być — przy obecnych założeniach, ogólnie przyjętych — szkołą mocnych ludzi, i to nietylko fizycznie, ale mocnych, jeśli chodzi o charakter. Nie chcę wdawać się tu w rozważania natury ogólnej, czy wogóle sport spełnia zadanie kształcenia charakterów; można co do tego mieć bardzo poważne zastrzeżenia — ale to nie jest tematem niniejszego artykułu. Jasną jest jednak rzeczą, że praca klubów fabrycznych w wyżej podanem ujęciu, które bynajmniej nie jest satyrą obecnych na omawianym terenie stosunków, nie daje nic dobrego, jeśli chodzi o tworzenie „mocnych ludzi". Kształci raczej degeneratów i hipokrytów w stosunku do społeczeństwa i samych siebie.

Kogo winić za taki stan rzeczy? Nie można winić tych, na których głowy najłatwiej zwalić odpowiedzialność. Czy bowiem można dziwić się chłopcu, który boi się utracić posadę, ewentualnie, który, przymierając głodem z braku pracy, tę posadę za swe umiejętności sportowe może otrzymać, a chociażby tylko poprawić sobie warunki materjalne, że — daje się skusić? Etyka — to taka rzecz, którą dobrze mieć, ale którą można stracić; a wiadomo, że okazja tworzy złodzieja. Dlatego winni obniżenia poziomu etycznego wśród zawodników klubów fabrycznych są głównie — działacze na terenie tych klubów. I to nie ci, którzy stoją na czele tych klubów, jako ich „firmy", i którzy często nie orjentują się w tysiącznych machinacjach, w których nieświadomie uczestniczą; oni wprawdzie dzięki swej władzy dadzą zawodnikowi pracę, polepszą mu warunki — umożliwią zakulisową robotę innym, odpowiedzialnym za właściwą „robotę". Szkodnikami, o których mówię, są zwykle niewidoczni i cisi „działacze" pomniejsi, skryci w cieniu czołowych osobistości,

pozornie nic nie znaczący i niewiele wiedzący. Oni właśnie spaczyli zdrową ideję pracy klubów fabrycznych, oni są odpowiedzialni za zgniliznę, w której babrzą się a która rozsiewa niezdrowe odory na cały nasz sport.

Nie chcę być posądzony o jednostronność. Wiem, że niektóre — nieliczne, niestety — kluby fabryczne prowadzą robotę zdrową i pożyteczną. Wiem, że nie wszystkich „działaczy" z klubów fabrycznych można zaliczyć do opisanej wyżej kategorji. Wiem, że na terenie klubów fabrycznych pracuje wiele jednostek naprawdę ideowych i naprawdę wartościowych, rozumiejących ważkość i istotę zagadnienia. Ale wiem również — zdrowe kluby fabryczne należą do wyjątków, tak, jak do wyjątków należą wartościowi pracownicy na terenie tych klubów.

I jeszcze chcę podkreślić, że nie występuję w obronie klubów niefabrycznych. Zdaję sobie sprawę, że wiele wyżej podanych uwag da się bez zmian zastosować do pracy klubów „cywilnych. Że i tam pracują i prowadzą swoją rozkładową „robotę" jednostki szkodliwe, które powinny być z naszego sportu z honorami wyświecone. Uważam jednak, że zagadnienie klubów fabrycznych jest dla panujących u nas stosunków sportowych jednem z najcięższych i jako takie wymaga szczególnie troskliwego rozważenia i rozwiązania.

O możliwościach rozwiązania tego zagadnienia pozwolę sobie kilka słów napisać w jednym w najbliższych artykułów.

K.

WOŁOSZYN MŚCI SIĘ

Jest już bardzo późno. Może za tydzień, a może już zaczną dąć halne wiatry, owce spędzą na dół, a na górze oszaleje białe piekło, zetnie mrozem, zastawi pułapki na żlebach, zdradliwe białe czapy położy na wylotach kominów, zadymki, zawieruchy, lawiny. Trzeba wracać.

Jacek parzy usta herbatą, odsuwa ją niechętnie i opierając łokcie o pocięty scyzorykiem blat stołu, patrzy tępo w zamazany kwadrat okna. Nad stawami wałęsają się małe białe obłoczki. Na przegubie lewej ręki ma mały złoty zegarek, wysadzany brylancikami. Bezcenne cacko, kaprys cyzelera i miniaturzysty, który na wewnętrznej stronie koperty umieścił portret kobiety o słodkich oczach, bardzo czerwonych ustach i fryzurze z epoki Króla Stasia. Znaleźliśmy go parę tygodni temu na Świnicy. Nad Morskiem, Popradzkiem, na Kościeliskiej, Gąsienicowej, w Hotelu, w Roztoce, Pięciu Stawach, nawet na Szczyrbskiem i w Szmeksie fakt ten zanotowany w księgach schroniskowych, ale właściciel nie zgłosił się.

Jacek machnął ręką, przecinając tok własnych myśli zdusił niedopałek papierosa na pokrytej grubą warstwą kurzu futrynie okna i przeciągając zdrętwiałe ramiona wstał. Plecaki były prawie puste, swetry, płaszcze, trochę drobiazgów i niedojedzone resztki zapasów żywności. Skrzywił się na widok pękniętego buta i pchnął skrzypiące w zawiasach drzwi.

Słońce podnosiło się majestatycznie nad podartą linją wierzchołków, kładąc fioletowe cienie w długich rynnach i załomach skał. Było cicho, ciepło, ale gdzieś na dalekim trygonometrze powiewał bury proporczyk mgły. Będzie lało. Może jeszcze nie dziś, może dopiero jutro, ale będzie. Jacek zastanowił się chwilę i wybrał drogę na Miedziany.

Zbliżało się południe, gdy na ruinach małego noclegowiska na Krzyżnem układałem z kamieni wał ochronny dla maszynki spirytusowej. Jest jeszcze pół pudełka herbaty, ani szczypty cukru, manierka wody, pół bochenka czerstwego chleba i sucha kiełbasa, podobno myśliwska. Jacek leży na plecach i obserwuje, krążącego wysoko po popielatym nieboskłonie orła.

— Pamiętasz tę płytę na Żabim?

— Ech — strzepnąłem ręką ze złością; trzecia zapałka zgasła, choć wydawało się, że panuje kompletna cisza — połowę paznogci połamałem wtedy.

Jacek westchnął.

— A ten koń przed szczytem Lodowego. Brr... Pójdziemy przez Kozi Wierch.

— Niema sensu, złaziliśmy go ze wszystkich stron; proponuję Wołoszyn.

Jacek przekręcił się tyłem do turniczek Orlej Perci i gryząc wargi ślizgał się wzrokiem po potężnym masywie Wołoszyna.

— Odpowiedzialna bestja jest, ale prezencji niema i możemy na kompromitację się narazić, łażąc mu po grzbiecie.

— Bredzisz kolego. Brodzisz po kolana w błocie z tornistrem, kabeka, łopatą, grabiami, bagnetem, erkaemem i czort wie czem, a nie wystawiasz na szwank swej sportsmańskiej ambicji, sboczybrózdo. Od dzieciństwa otaczałem Wołoszyna głębokim szacunkiem.

— Wara od królowej broni, zgniataczu jeży. Ten pagórek nie imponuje mi, dobry dla dzieci i kozic.

Wrócił do kontemplacji orlich lotów.

— Na Wołoszynie nie byłem — kończę półgłosem, hipnotyzując wzrokiem ledwo pełzające po menażce języczki płomienia — znaków żadnych niema, deszcze zjadły, trzeba robić szczytowe granie.

Podniósł się półciałem.

— Nie blagujesz? Wzruszanie ramionami nawet w górach nie należy do dobrego tonu. Przyrzekam ci, że jeżeli doznam jednego wrażenia, jeżeli raz się potknę, odwołuję wszystkie epitety w stosunku do tego pana. Ale w innym wypadku nie przyznaję się, że mą nogę na nim postawiłem.

Na brudnawej wodzie w menażce skacze kilka małych pęcherzyków.

— Boisz się? Uprzedzam, że już zapóźno. Wołoszyn jest mściwy i zarozumiały, zresztą nie bez powodu. Wątpię, czy pójdzie na kompromis.

Obiad był krótki i nietreściwy. Kiełbasa twarda i niczem nie różniąca się od podeszwy. Chleb wbrew zdrowej logice pachniał tranem, a herbata miała wszystkie cechy ciepłej wody, w której umyło się kilkanaście talerzy. Paski ściągnąć o dwie dziurki i w drogę.

Na łysym łbie Waksmudu siedziało kilka brunatnych chmurek. Wyglądał, jak ukoronowany, zresztą ma w całej swej sylwecie skrystalizowany prawdziwie królewski majestat i dostojeństwo. Łysa, lordowska czaszka i ogromne mocarne bary, olbrzym odpoczywający w sybarytycznej pozie dolce farniente'u. Tylko te chmurki na szczycie były niepokojące. Gdzieś daleko, na północnym horyzoncie ciągnęła się długa czarna taśma w oczach nabierająca rozmiarów, pęczniejąca, żółwim ale systematycznym krokiem, ciągnąca ku nam.

Wąskim gzymsikiem, plecami do otwartej w Roztokę przepaści omijaliśmy niebezpieczne luźno leżące na grani kamienie. Jacek zaczepił paskiem o ostry występ skalny, szarpnął i menażka płaskim łukiem skoczyła wprost w nitkę, płynącego dwieście metrów pod stopami, potoku. Drgnął ćwierćobrotem, ale w tej samej chwili przywarł całem ciałem do skały — szkoda ryzykować. Na czole miał parę kropelek potu. Plecak wisiał na jednem ramieniu, utrudniając utrzymanie chwiejnej równowagi. Żyły nabrzmiały mu na skroniach, jak postronki. Rzuciłem w bok okiem. Gzyms ciągnął się jeszcze kilka metrów.

Czarna taśma, ciągnąca z północy zaczepiła środkiem o skraj masywu i wygiętemi łukowato ramionami otaczała korpus Waksmudu. Łączyła się z ziemią nieskończoną ilością drobnych pasem, zaciągających nieprzeniknioną kurtynę nad całą ziemią. W czterech dolinach pod stopami zbierały się rude, porwane kształty w ciszy niezmiernej i spokoju. Nagle w jednej z dolin podniósł się drzemiący między maliniakami wiatr. Wspiął się pionowo w górę, wirując naokoło osi, skłębił, stłamsił lepkie, meduzowate poczwary, zwinął w potworny kłąb i rzucać począł ze świstem i hukiem w skały. Nad Gąsienicową trzasnął piorun, potoczył się przez hale, przesadził przełęcze i echem stokrotnem bić począł po Tatrach, ścigany drugą i trzecią purpurową błyskawicą. Mocny podmuch poderwał mi nogi, rzucił całem ciałem o ścianę pokrytą twardemi guzami, sypnął w oczy przygarścią podniesionego gdzieś z dna kotliny piasku i przypadł warcząc za bijącą w niebo iglicą samotnej turniczki. Na białym kamieniu rozmazały się mokremi plamami pierwsze krople deszczu.

Marszruta nawprost — fot. Zajączkiewicz

Gdzieś z wierzchołka urwało się kilka kamieni i toczyć się poczęło po żlebie, wtórując wściekłemu grzmotowi wyładowującej się w powietrzu elektryczności. Czarne, wężowate macki wysunęły się spiralami ku spokojnie czekającemu Wołoszynowi, prześlizgnęły się przez siodła i przeszły na stronę Roztoki. W czterech dolinach zaległ nieprzeniknięty biały mrok.

Jacek stanął, starł rękawem ociekającą wodą twarz i bez słowa wyjął nieprzemakalny płaszcz z plecaka. Zakutani w ceratowe fałdy posuwaliśmy się poomacku, instynktem omijając wykroty, jamy i zdradzieckie płyty, chwiejące się wahadłowo przy najmniejszym podmuchu wiatru. Ręce skostniałe wodziły sztywnemi palcami po oślizgłych ścianach szukając punktu zaczepienia, szczerby, w której możnaby umieścić chociaż paznogieć. Strużka wody spłynęła pod kapturem na szyję i szybko spłynęła po plecach, wstrząsając dreszczem całe ciało. Zimno. 1900 metrów nad poziomem morza.

Na całym Wołoszynie, którego zrobienie w normalnych warunkach wymaga koło pięciu godzin czasu nie ma ani jednej koliby, jednego kamienia, pod którym możnaby schronić się w razie deszczu. Jest dziko, pusto, odpychająco. Wołoszyn potrafi się zemścić. Nie odróżnia się poszczególnych kropel deszczu. Niebo otworzyło wszystkie wpusty i lało niezliczone ilości wody prosto na głowę.

Jacek pośliznął się gwoździami na mokrym upłazie, stracił równowagę, uderzył kilkakrotnie powietrze rękami, ostatnim wysiłkiem rzucił ciało wbok i bezwładnie padł na skałę. Dyszał ciężko. Przysiadłem na chwiejącym się melancholijnie głazie. Oddałbym dużo za możność zapalenia papierosa. Tytoń rozmókł, nasiąkł wodą, jak gąbka, w każdym razie nie nadawał się prędko do użytku. Jacek miał jeszcze parę papierosów w kieszeni. Zapalniczka nie działała. Siódma skolei zapałka zakwitła słabym płomykiem. Wątły dymek podniósł się do góry i znikł zaraz schwycony wiatrem. Papieros żarzył się w zwiniętej w trąbkę dłoni.

Jacek zdjął płaszcz, wyżął wodę i włożył zpowrotem do plecaka.

— Przemoczony jestem do suchej nitki, a ta sukmana tylko krępuje ruchy. Zresztą nie mam zamiaru ruszać się.

Zaciągnąłem się całemi płucami, aż do zawrotu głowy. Może ostatni dziś, nawet napewno.

— Zostań, ja idę dalej. Za godzinę, dwie będzie noc i wtedy jednego kroku nie zrobisz. A zostać tu na noc? Primo nie zrobiłem testamentu, secundo mam jeszcze dwadzieścia złotych, które przed śmiercią należy uczciwie przepuścić.

Wyciągnął żałosnym ruchem ręce przed siebie — palce jednej znikły w kłębku mgły.

— Odwołuję wszystko, przyznaję, że Wołoszyn jest boski.

— Odwrócił głowę i pocałował mokry kamień.

— A propos rzeczy boskich, przegryzłbym coś.

— Możesz przegryźć moją ciupagę, jeżeli potrafisz. A może wolisz coś ostrego, służę gilettką.

— Strasznie ci dowcip wyjałowiał w górach.

Na dole pokażę ci coś ciekawego.

— Ech!

Podniósł się, wycisnął garścią wodę z włosów i chlupiąc wodą w butach zrobił ostrożny krok naprzód.

Zbliżała się dziesiąta, gdy plącząc się w kosodrzewinie przebrnęliśmy na małą Halę pod Wołoszynem. Deszcz przestał już padać. Przy samej ziemi słał się aż do wierzchołków drzew gruby dywan mgły, której nawet latarka nie była w stanie przebić. Pod nogami chlupała woda. Gdzieś z prawej strony dochodził z wiatrem szum wodogrzmotów. Na hali stało kilka szaletów, pustych już. Widocznie owce zegnali niżej.

Kropnąłem głową w pień stuletniego świerka, zbrodziłem po kolana w rwącej wodzie o temperaturze bliskiej zera, wreszcie potknąwszy się na jakimś kamieniu wycisnąłem swą pośmiertną maskę w rozkisłej glinie...

— Ja... jak na dwie mi.. minuty, dużo wra... — silił się na szczękający zębami dowcip, ale nie skończył, potykając się o mnie. — No wiesz, mogłeś się położyć w innem miejscu.

— Daj spokój, właśnie oddaję ducha.

Z trudem odlepiliśmy twarze od gliny.

— Mam wrażenie, że tędy idzie jakaś ścieżka.

— Ale to przecież przeciwny Roztoce kierunek. Tam jest schronisko.

— Wybacz, ale badanie głową wszystkich drzew w lesie nie należy do przyjemności.

Z drugiej strony przeszłogodzinna wędrówka z rękami wyciągniętemi przed siebie, również nie była zbyt przyjemną. To też dużą przestrzeń mgły niepoprzecinaną czarnemi pasami pni sosnowych powitaliśmy okrzykiem, w miarę zachrypniętym, ulgi. Z odległości kilkunastu kroków odpowiedziało gremjalne, ale mniej radosne ujadanie psów.

Jeden, dwa, trzy, chyba z dziesięć ogromnych, białych owczarków opasało nas ciasnym pierścieniem, warcząc i łyskając kłami, widocznymi mimo gęstej mgły. Najodważniejszy oparł przednie łapy na piersiach Jacka i wywaliwszy czerwony jęzor, dyszał ciężko.

— Ależ to miła bestja. Ma zamiar pocałować mnie, albo zjeść.

— Kucnij Jacuś, któryś z Greków mówił, że to jedyny środek na wściekłe psy, a te zdaje się, nie są zupełnie normalne. W każdym razie przekonasz się jakie ma zamiary, drwiłem.

Moja dłuższa przemowa nie wywarła wrażenia na przygodnych słuchaczach, a nawet jeden zniecierpliwiony począł delikatnie, ale stanowczo szarpać rękami moje, jedyne spodnie.

— Ohej!!! — schwyciłem się ostatniej deski ratunku.

Odpowiedziało piane dyszkantem jodłowanie. Psy przestały warczeć, przysiadły na ogonach i świadome spełnionego obowiązku przyglądały się ironicznie dwum zmoczonym, szczękającym zębami postaciom. Z mgły wynurzyła się roześmiana, zarośnięta twarz.

— Salem alejkum, gazdo! — odzyskał humor Jacek.

— Pochwalony. Skaniście są?

— Rano z Morskiego przyszliśmy, Miedziany potem, Pięć Stawów, Krzyżne i Wołoszyn — informowałem.

— Tele świata zesli — zdziwił się szczerze.

— A teraz chcemy iść do Roztoki.

— Dyć juz po północku jest. A do Roztoki haj ctery kwadranse z hakiem.

— Ale gdzie my jesteśmy właściwie? — zauważył rzeczowo Jacek.

Nad stawem wałęsały się małe, białe obłoczki...
fot. Zajączkiewicz

Nad Szczyrbskiem... fot. Zajączkiewicz

— Na Hali Waksmuckiej.

— Ohoho! No to musimy tu przenocować.

Poszliśmy za góralem z arièrgardą dziesięciu owczarków obecnie już zupełnie przyjacielsko usposobionych.

Na zapytanie o chleb, względnie coś z cywilizowanego jedzenia góral uśmiechnął się szeroko — ostatni raz chleb im zdołu przynieśli nie w tą i nie w tamtą, ale w zaprzeszłą niedzielę. Trzeba było zaspakajać głód tubylczemi wiktuałami. Na pierwszy ogień poszły owcze serki, jako najbardziej rzeczowe, potem sporządzana na poczekaniu zbójnicka zupka, potem maślanka, kwaśne mleko, śmietana, rzętyca, serwatka znowu owcze serki. Od płonącej watry szło błogie ciepło. Juhas stał pod ścianą i z błogim wyrazem twarzy, spowodowanym ofiarowaną mu przezemnie paczką specjalnego fajkowego, obserwował nasze wyczyny. Podejrzewam go dotad, że musiał się tem świetnie bawić, bo co chwila proponował coś nowego i napełniał garnek inną cieczą. Jacek popuścił pasek o osiem dziurek, zapalił papierosa i uduchowionym głosem zakonkludował.

— Zjadłbym teraz beafsteck z cebulką... ale ponieważ są to marzenia ściętej głowy chodźmy spać.

Ubrania zlekka przeschły, wisząc nad ogniem, jedna skarpetka nawet się spaliła.

— Kolego juhasie mamy zamiar uderzyć w kimono.

Juhas uśmiechnął się i dalej pykał fajkę.

— Kimnąć chcemy, to znaczy przespać się. I coś do przykrycia, bo nasze pledy mokre.

— Acha—naprawdę wspaniale bawił się towarzystwem naszem. Co chwila przewracał oczy białkami na wierzch i pokazywał równe, wilcze zęby — Cłekowi chorość we wnuku zabije ta machora. Zaśpiać to nie tu mozecie, a w nanim sałasie. Skóry kany podle ścianą leżą.

Jacek przyglądał się podejrzliwie kożuchom.

— Możesz ich nie brać, gwizdnij, a same pójdą. Patrz, skaczą jak te sobaki gończe koło nas.

Przeszliśmy do następnego szaletu. Na dole stało kilka krów, głośno przeżuwających. Po niepewnej drabince weszliśmy na stryszek.

— Zobacyłek woma pedzieć co kany juz jeden turyst śpiam.

Dobrego śpiku. — odkrzyknął zdołu juhas i gwizdnąwszy na psa zatrzasnął drzwi.

Jacek zbadał głową twardość bierwion dachu i wyciągnął się, jak długi, potykając się o nogi śpiącego.

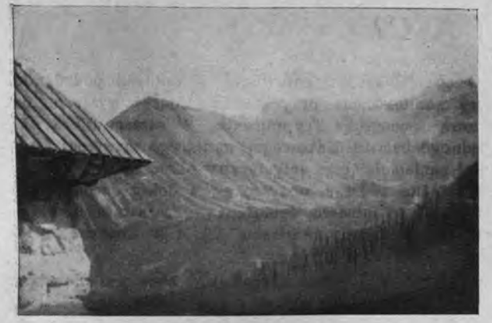

Na Hali Gąsienicowej... fot. Zajączkiewicz

— Psiakrew! — zaklął omotany pledem głos.

— Głupi szczeniak. Musiał akurat na samej drodze położyć się dogadywał Jacek moszcząc sobie posłanie z siana.

Wtuliłem się między niego i nieznajomego i nie zwracając najmniejszej uwagi na rozdrażnione obecnością obcego ciała mieszkanki kożucha, ani na krowy przeżuwające na dole, zasnąłem

Dopiero jakiś figlarny promyk słońca, skaczący od dłuższego czasu po powiekach, otworzył mi oczy. Spojrzałem na zegarek. Siódma rano. Późno już. Dobrze, że przespałem bez przygód całą zimną część nocy teraz jest nawet względnie ciepło i miło. O wstawaniu niema mowy. Do Zakopanego przez Gąsienicowę i Jaworzynkę najwyżej cztery, pięć godzin. Miljardy małych pyłków hasało w płaszczyźnie złotego promyka. Zamknąłem oczy zadowolony z siebie i całego świata Kosmyki kożucha łaskoczą po brodzie. Natarczywie, nachalnie. Takie długie kosmyki, jak loki. Przetarłem pięścią oczy raz i drugi. Nie było żadnych złudzeń, trzymam w ręku lok złotych włosów. Podniosłem głowę do góry i szarpnąłem Jacka za ramię.

— Panie starszy, jeszcze jedną kolejkę — mruczał w kożuch.

— Wstawaj — syknąłem.

— Nie płacę... nie pła... co chcesz, idjoto? — otrzeźwiał

— Patrz!

Jacek wstał uderzając z przyzwyczajenia głową w dach aż posypały się kawałki drzewa i słomy.

— Ale ty masz twardy łeb — zauważyłem z podziwem.

Jacek, tak jak przed chwilą ja, przetarł pięściami oczy i wyjąkał.

— Skąd... ty... ty to masz?

— No, to jest ten turysta, który tu śpiał, rozumiesz.

Na mojej piersi leżała kobieca głowa, o zaróżowionej od snu twarzy, małych, czerwonych ustach i długich rzęsach leżących na policzkach. Blond włosy rozsypały się mieniącą się w słońcu kaskadą na moim swetrze.

— Śliczna, jak babcię kocham — przyznał Jacek.

— A widzisz Jacuś, Wołoszyn mnie lubi.

Pochyliłem głowę i pocałowałem zamknięte powieki. Chrapki nosa parę razy drgnęły nerwowo.

— Mógłbyś nie wykorzystywać bezbronności tej dziewczynki — obruszył się.

— Primo jest to pocałunek o charakterze, że tak powiem rodzinnym, secundo nic to ciebie nie obchodzi, a tertio: napewno, jak się obudzi, nie będzie miała nic przeciwko temu.

— No wiesz, jak zobaczy twoją potwarz, to przez dwa tygodnie nie będzie mogła wstrzymać się od śmiechu.

Na szczęście przedmiot naszej dyskusji, w tym dość drażliwym momencie, gdy honor nakazywał mi przejście od słów do stalowej ciupaźki, przeciągnął ramiona i otworzył oczy, chrząknął parę razy powiekami i uśmiechnął się patrząc na Jacka.

— Nareszcie...

Zdrętwiałem. Czyżby oni znali się, a Jacek bawił się teraz moim kosztem. Przesunęła jakimś kocim ruchem, czubkiem języka po górnej wardze.

— Nareszcie znalazłam panów podchorążych.

Zdrętwiałem do reszty. Mnie nie widzi, a mówi o dwóch powtóre skąd wie kim my jesteśmy. To zakrawa na czarną magję, astrologję, czy teorję strzelania, w każdym razie coś bardzo nieczystego.

— Szłam za panami z jednodniowem opóźnieniem od samego Szmeksu. Miałam coprawda inną trasę, ale dowiedziałam się, że panowie znaleźli mój zegarek, a to pamiątka. Przykro ją oddać, nawet górom.

— Ach, to tak — roześmiałem się.

Nieznajoma zerwała się przerażona.

— Proszę się nie przejmować, to moja najmilsza noc, najrozkoszniejszy sen nocy letniej.

— Bardzo pana przepraszam. Obecnie zdaję sobie sprawę, dlaczego nie mogłam obudzić się.

W najlepszej komitywie zeszliśmy nadół. Juhas przywitał nas figlarnym uśmiechem.

A na Jaworzynce doszedłem do wniosku, że resztę urlopu będę musiał spędzić w Warszawie, bo Izabella za parę dni zaczyna lekcje. Naturalnie w Warszawie.

Kultywowany od dzieciństwa sentyment do Wołoszyna wzrósł w dwójnasób. Jacek twierdzi, że nie wypada by taka dostojna osoba, jak Wołoszyn mścił się na zwykłym podchorążym piechoty. Iza pragnie na drugi rok odwiedzić figlarnego juhasa z Waksmudzkiej. Naturalnie ze mną.

A w nocy najwyższe szczyty Tatr pokryły się śniegiem.

Toruń Podch. *Zb. Zajączkiewicz*

Morskie Oko fot. Zajączkiewicz

CO CZYTAĆ?

A. Janta-Połczyński.—„Ziemia jest okrągła".—Rój. Warszawa.

W zaciszu mieszczańskich salonów, lub rozgwarze modnych kawiarni młode snoby ze znużonym wyrazem twarzy mówią, że świat jest nieciekawy, że niema już na nim miejsca na „Wielką przygodą", że ze swą obecnością na świecie spóźnili się o lat kilkadziesiąt czy kilkaset, by wyżyć swoje instynkty zdobywców i odkrywców.

Czyż rzeczywiście wciśnięto życie ziemi w sztywne, standartowe formy bytowania? Raczej nie. Zamiast dawnych przebrzmiałych, narosły nowe problemy, równie jak dawne pociągające fantazję ludzką, otwarły się nowe tereny i szlaki kuszące współczesnych włóczęgów-romantyków. Inny jest ekwipunek tych co gnani niespokojnym duchem dziś i sto lat temu na podboje ruszali—duch jednak pozostał ten sam—wieczna tęsknota za nieznanem.

Że znowu nie każdy gnany tym duchem potrafi wyrazić swą tęsknotę, to już nie jego wina, szkoda tylko, że p. Janta-Połczyński tego nie odczuł i nie wykreślił tych momentów gdy uderzając w struny liryzmu i romantyzmu wydobył z nich ton fałszywy—blagi.

Gdy Mars się odzywa milkną muzy—gdy człowiek nie jest pewien swego życia małą rolę dla niego odgrywa gramatyka, niemniej dobrze zrobiłoby książce gdyby autor znalazł na krótki choć okres czasu zaciszny kącik zabezpieczony od kul chunchuzów i żołnierzy niebieskiej czy czerwonej armji, a przejrzawszy swoje wrażenia z podróży, poustawiał podmioty i orzeczenia na swoje miejsca.

Jednak, chociaż te usterki obniżają wartość literacką książki, to jednak żywy, barwny tok opowiadania i nieprzeciętna skala przeżyć, ciągła zmiana sytuacyj przykuwa uwagę czytelnika, stanowiąc niewątpliwie ciekawą lekturę.

W. B.

Bronisław Krystyn Wierzejski. „Forty na piasku".—Trzaska, Evert i Michalski.—Warszawa, (1935); str. 203.

Ukazanie się każdej nowej oryginalnej książki podróżniczej napawa nas otuchą. Nareszcie i Polacy nauczyli się jeździć po świecie. Z życzliwą ciekawością bierzemy też do ręki wspomnienia młodego autora z pięknej podróży po Trypolitanji. W świetle ostatnich wypadków problem włosko-afrykański urasta do rzędu pierwszorzędnych zagadnień. Zrozumiałe więc, że interesują nas wszystkie elementy, z których możemy sobie odtwarzać oblicze afrykańskiej rzeczywistości.

Książka Wierzejskiego jest właściwie pamiętnikiem podróży, jaką młody autor odbył w niecodziennych warunkach, korzystając z przywileju lokomocji wojskowemi środkami transportowemi. Rzeczowy umiar i celowa powściągliwość w opisie nie pozwala wpaść Wierzejskiemu w nęcącą frazeologję egzotyki ani, co gorsze, banału. Z feljetonową lekkością i bardzo zręcznie prowadzi nas do miast, wsi i fortów afrykańskich. Każdy z żywych momentów posiada smak niefałszowanej autentyczności, pozwalającej odetchnąć afrykańskiem powietrzem. W wędrówce z Wierzejskim, rowerem, autem czy wielbłądem, nie nudzimy się ani przez chwilę. Zmieniają się ciągle pejzaże i ludzie, natłok wrażeń z trudem pozwala na głębsze refleksje. Ale zadaniem tej książki jest właśnie chwytanie życia na gorąco. Metoda okazuje się w wykonaniu słuszna, a wyniki pisarskie, osiągnięte przez Wierzejskiego, przemawiają całkowicie na korzyść koncepcji autora.

O specjalnem przygotowaniu i erudycji podróżnika świadczy zamieszczona przy końcu książki wyczerpująca i rzeczowa monografja Trypolitanji. W samem dziele niema zbędnego balastu naukowego, psującego zazwyczaj kompozycję i zaciemniającego artystyczny obraz całości. Reasumując: książka ciekawa, pożyteczna i dobrze napisana — zwłaszcza jak na młodego debiutanta. Szata zewnętrzna — pierwszorzędna. „Forty na piasku" zdają się mieć zapewnione powodzenie.

Czytelnikom „Podchorążego" nie obce jest nazwisko B. K. Wierzejskiego. Na łamach naszego pisma zamieścił on bowiem ostatnio parę doskonałych korespondencyj z Rzymu.

Sm.

M. Prévost. — Klaryssa i jej córka. — Powieść. Wydawnictwo Nowoczesne. Warszawa, 1936.

Cicha, spokojna atmosfera zamożności, szacunku, tradycyj rodziny mieszczańskiej, a pod cienką warstwą tego pozornego, widocznego nazewnątrz spokoju rozgrywa się głęboka tragedja trojga ludzi, w ogniu której spala się miłość Ludwika Bruneteau do żony. Miłość czy tylko znowu jej pozory — tak jak u Klaryssy w grę wchodziła raczej ambicja niż miłość, ambicja, której towarzysząca zazdrość nadawała cechy miłości. Zazdrość staje się powodem tragedji. Zazdrość Klaryssy o córkę i jej stosunek do męża zaślepia ją, dyktuje jej posunięcia, które ją jeszcze bardziej od męża odsuwają. Miłość podyktowałaby ofiary, ambicja nie pozwalała dopuścić, aby w sercu Ludwika oprócz miłości do żony istniało inne uczucie choćby to było ojcowskie uczucie dla córki.

Za jedną tragedją tych ludzi, kryje się jeszcze druga. Tragedja ludzi, którzy świata nie widzą poza ciasnym kołem swego domu, rodziny, interesu, dla których literatura istnieje tylko jako temat do towarzyskiej konwersacji. Dla nich nie istnieje żadna idea, któraby pozwoliła wydźwignąć się ponad koło własnych mało ważnych trosk i przeżyć.

Tę atmosferę i tę tragedję Prévost oddaje z wielkiem wyczuciem i artyzmem.

W. B.

R. H. Woynicz. „Na kwaterze". Warszawa. 1936.

Tak właśnie sobie możemy wyobrazić: siedzi żołnierz na kwaterze i smaruje na kolanie wiersze. Powstają w ten sposób lekkie piosenki o dziewczynie i poważniejsze utwory, natchnione przez wojnę. Z licznych wierszy przebija specyficzna leguńska nuta. Łatwo poznać, że pisał je ktoś z wiary, co niejeden raz wrogowi w oczy spoglądał, a nikomu sobie dmuchać w kaszę nie pozwoli.

Jakżeby poeta-legun nie pisał o Komendancie. Wyśpiewanie swej miłości—to przecież nakaz najserdeczniejszy, płynący z głębi leguńskiego serca. Stapiają się w strofach wierszy dobre dole i niedole żołnierskiego żywota, tak pełnego rozmaitości. I nawet śmierć w żołnierskim szeregu nie taka straszna. Przecież—dla Ojczyzny.

Płyną lata. Znów się wraca wspomnieniami do czasów młodości, walk w Legjonach i na włoskim froncie. Muza poważnieje. Rodzą się nastrojowe wiersze refleksyjne. Całość zbiorku odznacza się bezpretensjonalną prostotą i wykazuje czasami wcale dużą kulturę literacką.

Dr. K. Jodko-Narkiewicz — Walce o szczyty Andów — Warszawa 1935, Główna Księgarnia Wojskowa.

Polacy na szczytach Andów! Triumf polskiej wyprawy wysokogórskiej! Wiadomościami o naszem wspaniałem zwycięstwie przepełnione były gazety polskie i argentyńskie, a za niemi prasa całego świata powtarzała szczegóły o tej wyprawie.

Prawdziwa była to walka. Już samo podejście do szczytów, wymagające długiej podróży karawaną po bezdrożach i bezludziu, bez wytyczonych kierunków, było trudem nielada. Baza operacyjna wyprawy leżała w pasie podzwrotnikowym, potem przychodziła skalna pustynia ze straszliwemi skokami temperatury — w dzień 40° gorąca, w nocy mróz 40° — wreszcie szczyty, gdzie ginie wszelka zieleń, nie dociera do nich ani puma, ani król wysokiego lotu kondor. Szczyty, gdzie każde poruszenie, z powodu braku tlenu staje się męczarnią, gdzie choroba górska „puna" dręczy zahartowanych tubylców wywołując wyczerpanie i ostateczną apatję. Straszliwe wichury, mogące łatwo strącić w przepaść wspinającego się na szczyt, sypią piachem skalnym w oczy, wywołują osypywanie się piargów oraz lawiny kamienne lub śniegowe. Wreszcie burze śniegowe szalejące wśród niedostępnych szczytów — wszystko to daje dopiero obraz tej niebywałej trzymiesięcznej walki jaką nasza wyprawa wysokogórska stoczyła z przyrodą, rozsławiając imię Polski wśród obcych i zdobywając niepośledniej wartości materjał naukowy.

Z pośród licznych zdobytych przez Polaków szczytów wymienimy tylko najważniejsze: Mercedario — 6770 m, Pico Negro — 5490 m, Alma Negro — 6120 m, la Messa — 6080 m, Cerro Romada — 6410 m Aconcagua — 8015 m. Instytut Geograficzny w Buenos Aires w uznaniu zasług wyprawy nadał lodowcowy Aconcaguy nazwę „Lodowca Polaków".

Wyprawa sfinansowana została wyłącznie pieniędzmi Polaków, tych z Polski i tych z Argentyny, ekwipunek wyprawy obliczony, zważony i udoskonalony przez polskich alpinistów aż do najdrobniejszych szczegółów — wykonany został całkowicie w kraju.

Książka Dr. K. Jodko-Narkiewicza jest wspaniałym reportażem pamiętnikarskim dorastającym w zupełności narracją i walorami literackiemi do wielkości dokonanego wyczynu. Czyta się ją jak najbardziej fascynującą i pełną napięcia powieść i ogląda z prawdziwem zadowoleniem estetycznem, wspaniałe fotografje w opracowaniu atelier Girs-Barcz.

Henry Dupuy-Mazuel — Joanna d'Arc — Wydawnictwo Nowoczesne — Warszawa 1936.

Nowa powieść autora „Cudu Wilków" osnuta jest na tle bohaterskich Walk Joanny d'Arc o uwolnieniu Francji od najazdu angielskiego. Tematem jest zajęcie Reims przez Karola VII — jego koronacja na króla Francji i drobny lecz pełen wyrazu epizod historyczny. Otoczenie króla dowiaduje się o spisku Anglików i Burgundczyków na życie Joanny d'Arc po zamordowaniu, której mają oni napaść na Reims.— Dla zmylenia wrogów przez ulice miasta defiluje sobowtór Joanny przebrana w jej zbroje Katarzyna córka dzwonnika katedry z Reims zaś prawdziwa Joanna wyrusza z wojskiem pko nieprzyjacielowi. Następnie Katarzyna spoczywa w izbie Joanny, narażając się na śmierć z ręki spiskowców. Dzięki zdradzie jednego ze spiskowców nie doszło do zamachu, zaś Joanna d'Arc po powrocie z wyprawy dowiaduje się o poświęceniu Katarzyny i nadaje jej miano Joanny z Reims. Posąg jej, cięty za życia bohaterki znajduje się do dziś w Katedrze w Reims. W tom bardziej legendarny niż historyczny epizod wpleciony jest zręcznie romans miłosny Katarzyny, wiernej zwolenniczki Joanny d'Arc z jej wrogiem Burgundczykiem Filipem Deroy. Po wielu przygodach Katarzyny ratuje życie Filipowi i poślubia go. Powieść kończy się nastrojową sceną rozpaczy ludu na wieść o męczeńskiej śmierci Joanny d'Arc.

Powieść Maznela napisana jest b. interesująca zaś zwarta i jasna konstrukcja doskonale odpowiada atmosferze swojej prostoty epoki średniowiecza.

Arkady Fiedler. „Zwierzęta z lasu dziewiczego". Tow. Wydawnicze „Rój".—Warssawa 1936 r.

Arkady Fiedler, to nietylko urodzony podróżnik, literat, lecz uczony badacz przyrody, obdarzony misją zbierania żywych i martwych okazów fauny puszczy brazylijskiej dla polskich instytucyj naukowych. W tej trudnej i mozolnej pracy Fiedler w ciągu długiego czasu żyje w bezpośredniej bliskości ze zwierzętami lasu dziewiczego. Poznał ich życie, obyczaje, nauczył się cenić ich egzotyczne piękno i opisał je z niezwykłym talentem obserwacyjnym. W opowiadaniach Fiedlera niema tak pospolitych rozważań filozoficznych czy psychologicznych, porównań zwierząt z człowiekiem. Jest tylko szczery, głęboki zachwyt nad pięknością i wdziękiem tych stworzeń, zadziwiająca prostota i oryginalność w opisie życia zwierząt. Czytając opowiadania Fiedlera odnosimy wrażenie, że sami poznaliśmy i obserwowaliśmy wesołe ryjkonosy, ciężkiego dzielnego pancernika, mądre papugi, mrówkojady i tyle, tyle innych egzotycznych zwierząt.

Wśród obszernej literatury „zwierzęcej" książka Fiedlera zajmuje zupełnie odrębne miejsce i wyróżnia się niezrównaną prawdziwością opisu i czarującem umiłowaniem piękna zaklętego w stworach puszczy dziewiczej.

P. T. Pietrzykowski — „Prace z metalu". Wyd. Księgarni Św. Wojciecha—Poznań, 1936.

Jest to niewątpliwie interesujący tomik, który powinien być zalecony nietylko amatorom—ale w pierwszym rzędzie — uczniom szkół zawodowych. Obejmuje on działy wyrobów z drutu żelaznego, z żelaza taśmowego i blach. Przy pomocy tej książki można wiele sobie dopomóc przy urządzaniu małego warsztaciku ślusarskiego. Szereg bardzo starannych tablic ilustruje wyroby: z drutu, żelaza taśmowego, zblachy żelaznej, cynkowanej, białej, cynkowej oraz przedmioty do gospodarstwa, ogrodu i pasieki. Tablice te ogromnie podnoszą wartość książki.

Wykonanie wyrobów omówione zostało szczegółowo, przez co wykonawcy mają ułatwione zadanie.

Autor konkluduje: na przywileje trzeba zasłużyć; zdobycie praw winno być poprzedzone przez ustalenie obowiązków.

Świat i Życie — Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury, — Wydawnictwo Książnicy-Atlas, pod naczelną redakcją prof. Z. Łempickiego.

Niejednokrotnie już na tem miejscu zwracaliśmy uwagę naszych czytelników na to wyjątkowo udane i pożyteczne wydawnictwo o charakterze podręcznej i dla każdego niezbędnej encyklopedji. Choć bowiem głównym odbiorcą „Świata i Życia" ma być młodzież szkolna, to jednak dobór tematów i autorytet opracowujących je autorów daje pełną gwarancję pożyteczności lektury nawet dla dorosłych.

Chcemy tu zanotować ukazanie się dwuch ostatnich zeszytów (z listopada i grudnia 1935 r.) kończących tom trzeci tej encyklopedji, której tom czwarty ukaże się w 10 zeszytach w ciągu bieżącego roku. Nabycie „Świata i Życia" gorąco polecamy wszystkim bibljotekom Szkół Podchorążych.

Na ćwiczeniach zimowych można się urządzić!

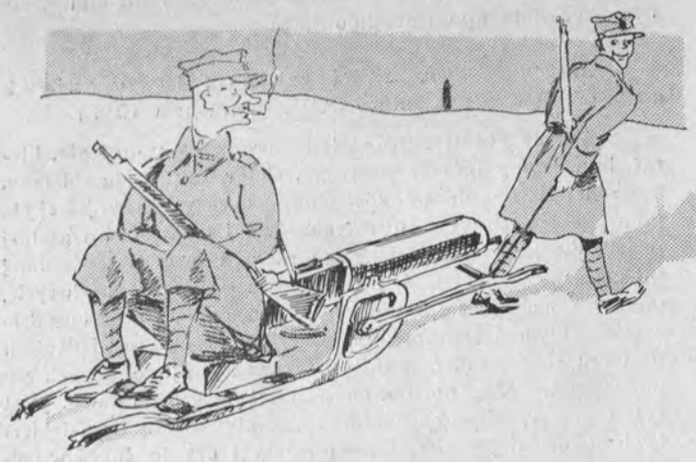

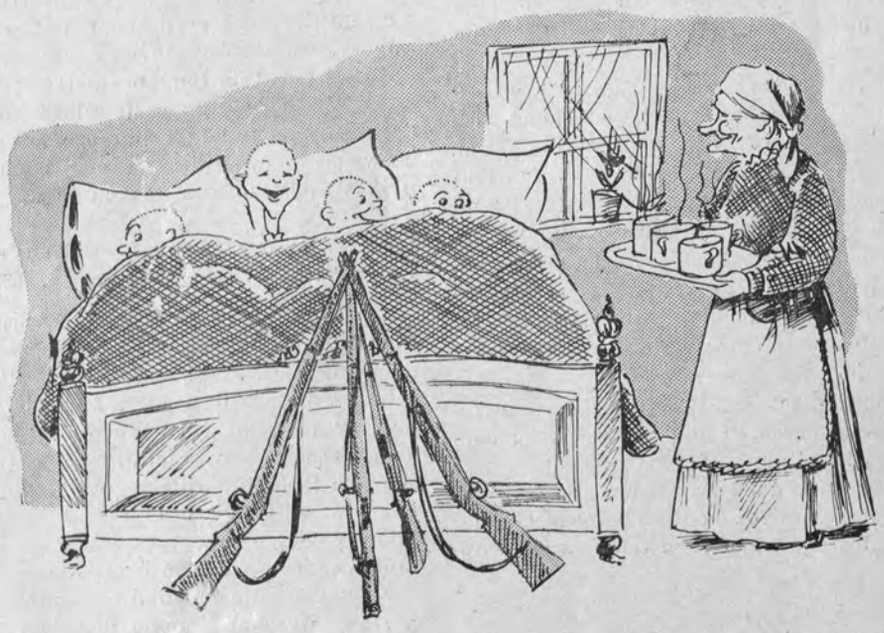

Redaktor Naczelny:
podchor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI
Zastępca Redaktora: podchor. J. SZPER

Sekretarz Redakcji: podchor. W. BRODZIKOWSKI
Kierownik artyst.: podchor A. SIEMASZKO
Kierownik Administr.: podchor. H. JANCZEWSKI

Adres Redakcji: Warszawa, Smolna 26/28, Administracji: W-wa, Nowy Świat 23/25 W. I. N. O.

Konto P. K. O. 26.720.

WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO-OŚWIATOWEGO.

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografij, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzusem: W. Bieliński, J. Błażejewski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Koziński, T. Królicki, B. Kucharski, J. Kozielski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Łaguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Milczarek, M. Mokrski, B. Nuszkowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Stryjkowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszkowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajączkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedyńczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA", Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.